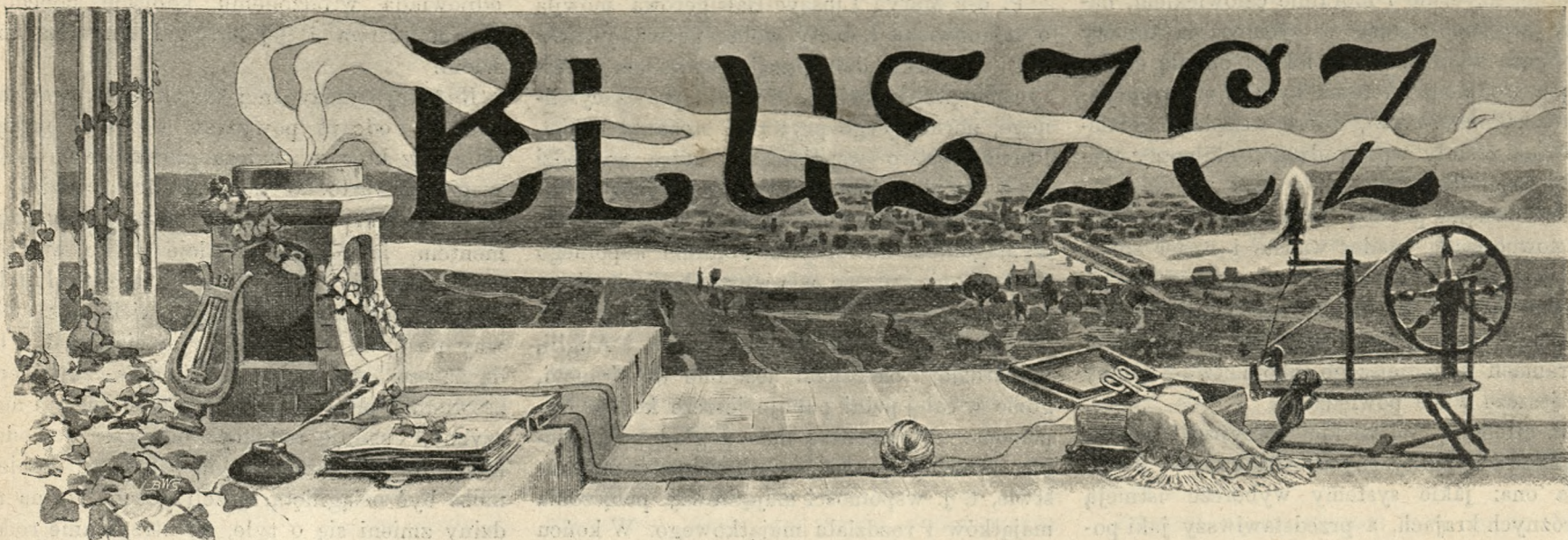




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Głos kobiet w kwestyi kobiecej.



I.

Stowarzyszenie pomocy naukowej dla Po-
lek imienia Kraszewskiego, urządziło w roku
1903-im dwanaście odczytów w Krakowie
o kwestyi kobiecej. Odczyty te wydane zo-
stały obecnie staraniem tegoż stowarzyszenia
w formie książki pod ogólnym tytułem: „Głos
kobiet w sprawie kobiecej.”

Ponieważ do odczytów tych powołano
wszystkie prawie siły kobiece, oddające się
u nas teoretycznej i praktycznej pracy w tym
kierunku, ponieważ nadto, program odczy-
tów obejmuje wszystkie najgłówniejsze stro-
ny tej kwestyi, przeto dzieło to zasługuje na
uwagę, jest bowiem niejako wiernem odzwier-
ciedleniem kwestyi kobiecej, takiej, jak ona
się w umysłach naszych kobiet postępowych
w obecnej chwili przedstawia.

P. Marya Turzyna dała ogólny rzut oka
na zasadnicze motywy, które w ciągu wie-
ków i pod wpływem zmieniających się ustro-
jów społecznych, wywołały ostatecznie nowo-
czesny ruch kobiecy. Wychodząc z założenia,
iż przez długie wieki trwająca zależność
kobiety od mężczyzny obudziła u ogółu mnie-
manie, iż kobieta „od początku świata” pozo-
stawała pod mocą mężczyzny, autorka stara
się zwalczyć to mniemanie i sięga w tym ce-
lu do tradycji pierwotnych u Aryjczyków
i Semitów, dowodząc, że zarówno w Bunde-
hesz, księdze świętej Aryjczyków, jak i w Bi-
blii, niema nigdzie zaznaczonej różnicy mię-
dzy mężczyzną a kobietą, a nawet liczne fak-
ty w społeczeństwie izraelskiem stwierdzają
ogromny wpływ kobiety i wielką ilość kobiet

bohaterskich, dzierzących mocą swego ducha
władzę nad całym narodem.

Dopiero gdy początkowi *prawodawcy-mędr-
cy* ustąpili miejsca *prawodawcom-wojownikom*,
zaczęły się dla kobiety czasy niewoli. Zmu-
szano ją do miłości — czyli nakładano na nią
niewolę *ciała*, gnębiono, upadlano i deptano —
czyli wzięto pod jarzmo *duśzę* kobiecą, uczy-
niono ją zależną od mężczyzny ekonomicznie;
co było niewolą *chleba*. I trwało to do chwil
nastania pierwszych *prawodawców-wojowni-
ków*, u ludów niecywilizowanych, aż do osta-
tniego wojownika-zwycięzcy, Napoleona, twór-
cy krzywdzącego kobietę w każdym kierunku
kodeksu Napoleońskiego. Dopiero, gdy te trzy
rodzaje niewoli: *ciała*, *ducha* i *chleba* uświa-
domiły się kobiecie (co stało się nie tyle pod
wpływem „ożywczego technienia epoki, która
porwała duchy do wolności” — jak twierdzi
autorka — lecz pod wpływem nieubłaganych
warunków ekonomicznych, które pchnęły ko-
bietę do pracy zarobkowej i do walki o sa-
modzielność), powstała kwestya kobieca. Ko-
biety zrozumiały, że wyzwolenie rozpocząć
muszą od siebie samych, czyli od uwolnienia
z pęt nieświadomości i poniżenia swej duszy
że w dalszym ciągu wywalczyć sobie muszą,
niezależny byt materyalny, a nareszcie zdo-
być prawo rozporządzania sobą i swem mie-
niem. I ztąd powstały trzy kierunki ruchu
kobiecego: walka o *wykształcenie*, o *pracę za-
wodową* i o *prawa cywilne i polityczne*.

Przystępując do omówienia pierwszego
z tych kierunków, t. j. „Wykształcenia ko-
biet,” druga z prelegentek, p. K. Bujwidowa,
zaznacza, że kobiety w walce o swe prawa
odniosły już drobne zwycięstwa, do których
należy zdobyte prawo do wykształcenia uni-
wersyteckiego. Jeżeli autorka zdobyła tę o-
znacza, jako „drobną,” to pochodzi to ztąd,
iż przedewszystkiem kobiety nie posiadały jesz-
cze zasadniczego prawa decydowania o po-

trebach swego wykształcenia, nie są bowiem
dopuszczane do żadnych ciał, ani władz za-
rządzających sprawami oświaty; następnie
zaś cały dzisiejszy system wykształcenia, no-
szący na sobie piętno scholastyizmu, jest na
wskrós wadliwy i dla dzisiejszych potrzeb
nieodpowiedni, i to zarówno dla młodzieży
męskiej, jak i żeńskiej. Kobieta jednak obok
wad jakościowych, spotyka się jeszcze z ogra-
niczeniami ilościowymi, z małymi wyjątkami
bowiem niema jeszcze szkół właściwych, ani
ciągłości w nauce.

Domagając się reformy gruntownej szkol-
nictwa, prelegentka pragnęłaby, ażeby ta
ostatnia wzięła za podstawę nowoczesną szko-
łę, stworzoną przez Anglików, a wprowadzo-
ną także w niektórych miejscowościach Fran-
cyi i Niemiec. Główne zasady tej szkoły,
zbliżonej już poniekąd do doskonałości, są
następujące: 1) Młode pokolenie powinno być
przedewszystkiem nie kształcone, lecz wycho-
wywane, i dlatego hasłem nowej szkoły ma
być nauka życia, a nie przyswajanie pewnej
summy wiadomości. Do osiągnięcia tego ce-
lu przyczyni się znacznie ograniczenie liczby
uczniów do 10–12 w klasie, by mózdz na
każdego z osobna działać. 2) By zapewnić
młodzieży rozwój fizyczny, szkoła nie może
znajdować się w mieście. Szkoły nowożytne
angielskie i francuskie położone są na wsi,
w majątkach, obejmujących obszar 40–50
morgów. 3) Rozwijać należy hartowanie woli,
przewyciężanie samego siebie, zamięłowanie
do pracy i właściwe jej ocenianie. 4) Wpa-
janie w młodzież świadomości, że człowiek
jest jednostką społeczną i pouczanie go o o-
bowiązkach społecznych. 5) Dawać uczniom
ogólno-ludzki fundament bez względu na
wyznanie wiary. Reforma dotyczyć powin-
na zarówno dziewcząt, jak i chłopców, idzie
bowiem o stworzenie doskonałego typu
„człowieka.” Ażeby jednak kobieta stała się

istotnie fizycznie i moralnie człowiekiem, należy wprzód usunąć z wychowania kobiety panujące w niem dotąd fałsz i obłudę. Ważnym środkiem ku temu byłoby zaprowadzenie szkół *mieszanych*, które wszędzie, gdziekolwiek zostały wprowadzone, najlepszy wydały rezultat.

Podniesiona przez p. Bujwidową idea szkoły nowoczesnej, nader ważna i nader słuszna, jest jednak, niestety—zwłaszcza u nas—bardzo jeszcze daleką urzeczywistnienia, dla reformy zaś wykształcenia kobiet—nawet w ramach teraźniejszego szkolnictwa—dałoby się jeszcze wiele powiedzieć.

P. Helenie Witwickiej przypadł referat o „Prawach politycznych“ dla kobiet. Wyjaśnia ona: jakie systemy wyborcze istnieją w różnych krajach, a przedstawiając jaki postęp dokonał się w nowszych czasach na tem polu, stwierdza, że przywileje wyborcze zawsze jeszcze istnieją. Walkę o prawa polityczne dla kobiet, podjęto po raz pierwszy podczas Rewolucji Francuskiej i wówczas najgorliwszą pionierką była Olimpia des Gouges, która deklaracji praw człowieka przedstawiła deklarację praw kobiety. Kobiety nie osiągnęły żadnego skutku, gdyż nawet tak skrajni rewolucyoniści, jak Mirabeau i Robespierre byli przeciwni nadaniu kobietom praw politycznych. W XIX-ym wieku kobiety we Francji walczyły dalej o swe prawa, a zwłaszcza zwolenniczki szkoły St. Simona uczestniczyły w walce tej z zapałem.

W Anglii ruch ten rozbudzony rewolucją francuską, trwa po dziś dzień, a głównym jego ogniskiem jest Manchester. Dzielną obronę znalazły kobiety w słynnym ekonomście angielskim J. St. Millu. Dziś żądania kobiet angielskich blizkie są już urzeczywistnienia. Dotychczas w niektórych krajach kobiety uzyskały tylko prawo wyborcze do gmin; w dziedzinie samorządu lokalnego, a mianowicie w Anglii, Szkocji i ks. Walii.

W Austrii, gdzie system wyborczy jest pełen sprzeczności, kobieta ma niektóre prawa wyborcze, lecz nie jako obywatel i człowiek, tylko jako osoba płacąca podatek, i to nie wolno jej praw tych wykonywać osobiście, lecz przez pełnomocnika.

Autorka omawia stosunki i wyniki w tych krajach po za europejskich, gdzie kobiety uzyskały zupełne prawo wyborcze, jak w niektórych stanach Ameryki i Australii, i stwierdza, że rezultat jest wszędzie pomyślny.

Wreszcie p. Witkowska zwalcza opór władz przeciw nadaniu kobietom praw politycznych, dowodząc, że nie mogą opierać się ani na tradycjach—gdyż te ulegają przekształceniu, ani na braku inteligencji u kobiet, gdyż dały już one dostateczne dowody swej inteligencji, a reforma wykształcenia kobiecego w przyszłości wzmoże jeszcze tę inteligencję; ani nareszcie nie może być przeszkodą tkliwe usposobienie kobiet—jak twierdzą przeciwnicy równouprawnienia, gdyż ta właściwość wpłynąć może przeciwnie bardzo korzystnie na ogólne złagodzenie zwyczajów wyborczych i politycznych. Odczyt ten, przeważnie rzeczowy, zakończyła prelegentka gorącym wezwaniem do solidarności i organizowania się kobiet, oraz do zmiany wychowania kobiecego.

P. d-r Marya Lipszyc-Balsigerowa mówiła o „stanowisku kobiety wobec prawa cywilnego.“ Autorka dała przedewszystkiem historyczne przedstawienie rozwoju prawa cywilnego, normującego prywatne stosunki kobiet. Prawodawstwo współczesne, które wywodzi się z dwóch źródeł: prawa rzymskiego i prawa germańskiego, nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom kulturowym. Pomimo wspólnego pochodzenia, prawo w różnych krajach różnie przebywało rozwój. Najbardziej postępowem jest ono w Stanach Zjednoczonych i Anglii, najbardziej wstępnem jest ono we Francji, gdzie w całej pełni panuje jeszcze kodeks Napoleona. Prelegentka dała pogląd na istniejące systemy prawa majątkowego w małżeństwie, t. j. wspólności majątkowej, połączenia majątków i rozdziału majątkowego. W końcu poruszyła kwestję rozwodów, oświadczając się za nimi. Wykazawszy, iż prawa istniejące nie odpowiadają ekonomicznemu i społecznemu stanowisku, jakie kobieta już dziś zajmuje, przedstawia konieczność wyzwolenia się kobiety z pod panowania mężczyzny, zapewnionego mu prawem obecnym.

Odmienne stanowisko od autorek dotychczas omawianych i następnych, zajmuje p. d-r Felicja Nossig w swym referacie o „ekonomicznej stronie kwestyi kobiecej.“ Gdy poprzednie autorki miały głównie na względzie kobiety z klasy średniej, to p. N. bierze pod uwagę położenie kobiet z klas roboczych, stanowiących liczebnie nieporównaną większość kobiet. Z tego punktu widzenia, jako główny motyw ruchu kobiecego, przedstawiają się pobudki ekonomiczne, one to bowiem miliony kobiet popchnęły do pracy w przemyśle, one to ogarniają zwolna i wyższe klasy społeczne, wytwarzając dla kobiet potrzebę wywalczenia sobie samoistnej egzystencji.

Ponieważ jednak pobudki te działają o wiele silniej wśród kobiet z proletariatu, ponieważ dalej cały rodzaj walki jest odmiennym dla kobiet z proletariatu—gdzie walka ta łączyć się musi z ogólnym ruchem robotniczym—a dla kobiet z klas średnich—przeto autorka przeprowadza podział ruchu kobiecego na ruch proletaryacki i ruch burżuazyjny. Przedstawiając w obydwu tych kierunkach historyczny rozwój walki kobiet o pracę zawodową i zarobkową, autorka wskazuje na kolizję, jaka wynika pomiędzy obowiązkami macierzyństwa, nałożonemi kobiecie przez naturę, a wyczerpującą pracą zawodową, do jakiej dąży ruch obecny i wywodzi ztąd niemożliwość zupełnego zrównania praw i obowiązków kobiety i mężczyzny. Sądzi ona, że w dalszym swym rozwoju kwestya kobieca, wychodząc po za motywa czysto ekonomiczne—które są głównymi motorami każdego wielkiego ruchu massowego, w jego stadyach początkowych, będzie musiała uwzględnić więcej, niż dotychczas—indywidualność kobiecą. I dopiero, gdy kobieta dojdzie, w granicach swej indywidualności do najwyższego rozwoju, będzie można dojść w przyszłości nie do konkurencyjnego przeciwdziałania, lecz do korzystnego współdziałania obojga płci w interesie kulturowo-społecznego postępu ludzkości. W tym przyszłym podziale pracy przypadnie kobiecie przeważnie działanie w dziedzinie społecznej, ono bowiem najbardziej

odpowiada wrodzonemu kobiecie popędowi macierzyństwa i jej indywidualnym zdolnościom.

Redakcja omawianej książki zbiorowej zaostrzyła odczyt powyższy osobnym przypiskiem, w którym zwalcza główne twierdzenia w nim zawarte. I tak odrzuca podział na ruch proletaryacki i ruch burżuazyjny argumentem, iż różnica istnieje tylko w walce ekonomicznej, walka zaś o prawa ludzkie wspólna jest kobietom wszystkich klas. Główny postulat, iż „funkcye macierzyńskie będą zawsze stały na przeszkodzie zupełnemu zrównaniu praw i obowiązków kobiety i mężczyzny“, usiłuje redakcja odeprzeć dowodzeniem, iż ekonomiczna niezależność kobiety może być osiągnięta, jeżeli obecna forma rodziny zmieni się o tyle, że utrzymanie rodziny nie będzie obowiązkiem mężczyzny, lecz że społeczeństwo zapewni utrzymanie matce i dziecku przez ten okres życia, kiedy kobieta do zarobkowania nie jest zdolną. (Rozwiązanie to uwzględnia jednak ekonomiczną stronę postulatu, który obejmuje jeszcze prócz tego względy natury fizjologicznej i intelektualnej). Kwestyę nareszcie, czy dziedzina nauk społecznych i działania społecznego, odpowiada bardziej umysłowi kobiecemu, niżeli dziedziny innych nauk—zdaniem Redakcji rozstrzygnąć niepodobna dla braku dowodów. (Autorka odczytu natomiast podniosła, iż właśnie w dziedzinie społecznej kobiety dostarczyły już licznych przykładów częstokroć nawet genialnego uzdolnienia).

—g.—

(Dokończenie nastąpi).



Maryan Gawalewicz.

✧ J A D. ✧

POWIEŚĆ.



I.

Było już dobrze po północy.

Od ulicy Brackiej ku Alejom Jerozolimskim toczyły się szybko dwie eleganckie karety na gumach, bez turkotu, jakgdyby koła wcale nie dotykały bruku,—tylko miarowy tentent kopyt końskich odbijał się od murów kamienie, zasutych mrokiem i ciemnością, którą od spodu rozpraszał blask latarni gazowych.

Jesienna mgła gęstniała w wilgotnem powietrzu; flizy chodników lśniły się lepkiem błotem, płomyki gazu roztopiały w jakieś rdzawo-żółte plamy.

Obie karety mknęły spiesźnie jedna za drugą.

Stangreci byli w białych rękawiczkach, na piersiach mieli bukietki z białemi wstążeczkami, u jednej z karet latarnie były gałązkami myrtu i pomarańczowych kwiatów spowite; przez szybę majaczyły kształty kobiety biało ubranej i mężczyzny, trzymającego bukiet ślubny.

Przed uchyloną bramą jednej z narożnych kamienic czatował służący we fraku i na widok zbliżających się pojazdów rzucił szybko poza siebie zaspanemu stróżowi dwa wyrazy:

— Otwierać!... jada!

Podwoje bramy rozsunęły się ze zgrzytem i za chwilę wtoczyła się do szerokiej sieni pierwsza karetka, z której wysiadły dwie nie młode damy w wystawnych toaletach i weszły na schody, przybrane dywanem, kwiatami i doniczkami liściastych krzewów, wśród których różnokolorowe lampki elektryczne rozlewały jaskrawe światło.

Na pierwszym pięttrze w drzwiach otwartych na roścież od przedpokoju stał u progu wygolony staruszek w długim surducie, w białej chustce na szyi, w białych rękawiczkach bawełnianych i w drżących rękach, trzymał na srebrnej tacy chleb i sól, z miną wielce uroczystą i w nastroju bardzo poważnym.

— *Voilà!*... pocziwy Dzikalski!... Patrz pani! — zwróciła się z wyrazem przyjemnego zdziwienia młodsza dama do swojej towarzyszki i dodała po francuzku:

— To ładnie z jego strony, nieprawdaż?.. bardzo miła niespodzianka, co?..

Dzikalski pochylił nisko głowę i poruszył ustami, jakby z niemem powitaniem, pełnem służbistej atencji, a potem wyprostował się znowu i przymknąwszy powieki, oczekiwał nadejścia młodej pary.

Na schodach zaszeleściła suknia, wlokąca się długim trenem po stopniach wyłożonych dywanem; wsparta na ramieniu swego męża wchodziła po raz pierwszy pani Michalina z Dobrojewskich Taniecka w progi własnego domu, z tem uroczem zakłopotaniem i wzruszeniem oblubienicy, przed którą otwiera się nowy, przeczuwany zaledwie świat, pełen odgadywanych tajemnic, wymarzonego szczęścia i rozkoszy.

Ręka jej drżała, usta rozchylone pół-uśmiechem szeptały:

— Jak tu ładnie!.. jak ładnie!.. O, dziękuję, dziękuję, dziękuję!..

On, mężczyzna trzydziestoletni, dorodny, smukły brunet, z powierzchownością wytworną człowieka najlepszej sfery, z twarzą o rysach szlachetnych, rozumną dojrzałością nacechowanych, patrzył na nią z miłością a zarazem z dumą zwycięzcy, który upragnioną zdobycz kochającego serca wprowadza po raz pierwszy pod swój dach, jako branke i królową w jednej osobie.

Oczy jego zdawały się mówić:

— Ty, moje szczęście, moje bóstwo, moje wszystko!

W powietrzu przepełnionem zapachem kwiatów świeżych, zalaniem blaskami świateł, było coś odurzającego, co jeszcze bardziej podnosił kontrast smutnej, szarej, zamglonej nocy jesiennej na ulicy z tą miłą, ciepłą, pogodną atmosferą przedsionka własnego domu, z takim smakiem i przepychem przybranego na przyjęcie młodej pani.

Na progu otwartych drzwi stary Dzikalski cichym, złamanym od wzruszenia głosem, podając nowożeńcom tacę z tradycyjnym podarkiem, powitał ich słowami!

— Z Panem Bogiem, z powszednim chlebem, ze szczerem sercem witamy jaśnie panią!..

Chciał się pochylić przed nią i ująć jej rękę do pocałowania, ale zrobił ruch za szybki i z drżącej dłoni omal nie wysunęła mu się taca; w porę jeszcze zdołał przytrzymać bochenek chleba, lecz potrącona srebrna solniczka spadła z brzękiem na posadzkę i rozsypała całą sól pod nogi zmieszanej tą przygodą Tanieckiej.

Przez chwilę zapanowało przykre milczenie; napomarszczonej, bladej twarzy Dzikalskiego odmalował się wyraz zgnębienia, wstydu i trwogi.

Wystraszonemi oczyma wpatrywał się w rozsypaną sól na podłodze i nie mógł przemówić więcej ani słowa; dolna warga mu obwisła, krzaczaste brwi drgały nerwowo, czoło spochmurniało, trząsł się na całym ciele: stał, jakby ogłuszony przed jaśnie państwem, których w progu przyjął tak niezręcznem powitaniem.

Taniecki przyciął usta i maskując przykre wrażenie udanym uśmiechem, odebrał z rąk starego kamerdynera tacę z chlebem, a widząc jego straszną konfuzję, objął go dobrotliwie za szyję, przycisnął siwą trzęsącą się głowę do swoich piersi i ucałował go zlekka w czoło, ze słowami:

— No, no Dzikalski, nie się złego nie stało!.. dziękujemy za chleb i dobre serce a sól i tak była niepotrzebna. Będzie nam za to słodziej, prawda Misiu?..

Staremu lzy się puściły z oczu, objął Tanieckiego za kolana, jakby go przeproszał za zły prognostyk i powtarzał jakimś jęklwym, błagalnym głosem:

— Bóg miłościwy... Bóg miłościwy!..

Obie starsze damy pomogły tymczasem młodej pani zdjąć białe okrycie, bramowane marabutowymi piórami, i wprowadziwszy ją do salonu, kolejno tuliły w objęciach, całowały w głowę i policzki, jedna z afektowanym śmiechem radości, druga z rzewnem rozczuleniem matki, ściskającej ukochaną synowę.

— Misieczko, i cóż ty na to? — wołała młodsza po francuzku, — czy ty wiesz, że jesteś już u siebie?.. Misiu, to twój dom, a to twój mąż!.. Musi ci się to ogromnie zabawnem wydawać, że zostaniesz tu po raz pierwszy w nocy bez mamy, sam na sam tylko z tym szkaradnym Henrykiem, który mi porwał moją najdroższą jedynaczkę?.. Heniu, panie Henryku, tylko *soyez sage, je vous en supplie*, nie pozwól jej pan płakać zanadto!.. będzie jutro cały dzień miała opuchnięte oczki. Młode panny to nieznośne bekisy przed ślubem i po ślubie; no, po ślubie co prawda, to się prędko pocieszają. Od czegoż mąż, prawda droga pani!.. My matki wiemy to!.. *Regardez ma chère*, co za świetny będziesz miała apartament!.. Salon olśniewający, a twój gabinet — cacko!.. a sypialnia marzenie!.. Zobaczysz jutro za dnia, będziesz zachwycona. Kochany Heniu!.. jak on to wszystko ślicznie urządził, z jakim gustem, z jakim przepychem!.. O, dziękuję panu!

Wyciągnęła do niego obie ręce.

— Dziękuję ci za siebie i za moją córkę!..

podziwiałam już, ile delikatności, ile pomyślnie miałaś w każdym szczególe. Misiu!.. pozwól, poprawię ci czepeczek, bo się przekrzywił trochę. Wiesz, ślicznie ci w tem czepeczku!.. panie Henryku, prawda, że Misiu dziś cudownie wyglądała w ślubnym welonie?.. Kiedyście przechodzili przez kościół, słyszałam jeden szmer uwielbienia dla was obojga. Po prostu, zachwycająca z was była para.

Splotła ręce w białych rękawiczkach i z lubością przypatrywała się córce i zięciowi, którzy stali w środku salonu, trzymając się w uścisku miłosnym, zatopieni w sobie wzrokiem, jakby dosnuwali spojrzeniem rozmowę dwojga dusz, złączonych na wieki z sobą.

Zdawali się nie słyszeć tego, co do nich mówiła mama Dobrojewska, przejęci jedną myślą i jednym wrażeniem, że należą już do siebie i że ich tylko śmierć jedna mogłaby rozłączyć, ale że w takiej chwili nawet ona nie śmiałaby targnąć się na ich szczęście.

Przy wspaniałym kominku, polyskującym polerowanym marmurem i świetnemi bronzami przysiadła na fotelu druga matka i przycisnąwszy do ust chusteczkę, zalawionemi oczyma wpatrywała się w syna poważna, milcząca, zatopiona cała w jednej myśli i jednym uczuciu.

Wzrok jej badawczy zdawał się płynąć daleko, w przyszłość i pytać losów:

— Czy on tylko będzie szczęśliwy?

I jakieś rzewne zatroskanie przebiegało z tych oczu wilgotnych.

Dobrojewska chodziła po jasno oświetlonym salonie, zaglądała we wszystkie kąty, przysiadła na wspaniałych meblach, unosząc się w dalszym ciągu nad urządzeniem apartamentu, jak gdyby to materyalne otoczenie młodego małżeństwa stanowiło najważniejszy warunek szczęścia.

— Będzie wam tu, jak w niebie! — powtarzała z zachwytem, a od czasu do czasu rzuciła okiem w zwierciadła, wypełniające w kosztownych, rzeźbionych ramach ścianę pomiędzy oknami i instynktownym ruchem światowej elegantki poprawiała sobie bujne włosy, oraz bardzo wystawną toaletę, w której wydawała się o kilkanaście lat młodszą, niż była w istocie.

Chwilami widocznie porównywała w lustrze swoje, dobrze jeszcze zakonserwowane wdzięki, z wiośnianą pięknnością córki i uśmiechała się z zadowoleniem.

Zwierciadło bez pochlebstwa mówiło jej, że na tem porównaniu nie wiele traci; to wprawiało ją w dobry humor i odmładzało jeszcze bardziej.

Wyglądała przy swojej ukochanej Misi na starszą siostrę lub doświadczoną przyjaciółkę; nie znać na niej było ani śladu głębszego przejęcia się tą uroczystą chwilą, która w życiu każdej matki, oddającej swe jedyne dziecko w ręce najlepszego nawet zięcia, zapisuje się przynajmniej łzami rozczulenia.

Oczy Dobrojewskiej były suche i rozbłyśkane, wyraz twarzy uśmiechnięty i podniecony; ze swobodą salonowej papli dowiejkowała, śmiała się, kręciła, jak fryga, po

miękkim puszystym dywanie, nie zważając na to, że jej nie odpowiadano wcale, lub tylko półsłówkami.

Głos jej brzmiał jakimś rozdzwiękiem w nastrojowej atmosferze salonu, w której dwa rozkochane serca drżały wspólnym rytmem miłości, a trzecie macierzyńskie wtórowało im przyspieszonym tętnem.

Taniecka wpatrywała się ciągle w syna i synową, nie przerwawszy ani jednym słowem mileżenia.

Poważna, wysmukła jej postać matrony o przypruszonych suto siwizną włosach, w toalecie wytwornej z koronek i liliowego jedwabiu, bez wszelkiej pretensjonalności, stanowiła silny kontrast z zalotną powierzchownością Dobrojewskiej.

Dwie matki, panny młodej i pana młodego, różniły się nie tylko samym wyglądem i wyrazem fizyognomii, ale jakimś krańcowym przeciwieństwem dwóch natur kobiecych, z których jedna, jak bańka wodna, płynęła widocznie tylko wierzchem życia, a druga głębokim nurtem jego.

Taniecki oderwał oczy od pięknej żony, zaślubionej przed kilku zaledwie godzinami i podszedł do matki, aby w niemych uścisku ręki podzielić się z nią swoim szczęściem.

— Niech wam Bóg błogosławi, moje dziecko! — szepnęła cichym, miękkim, wzruszonym głosem, przyciskając usta do jego czoła, — bądź dla niej dobrym, aby była szczęśliwą, jak ja byłam z twym nieboszczykiem ojcem!

Przykląkł i przytulając głowę do jej kolan z jakąś pieszczotą chłopca, nie dorosłego mężczyzny, ucałował je gorąco z uczuciem syna-jedynaka.

— Będę mamę, zobaczysz! — odparł z wyrazem głębokiej wiary i przekonania, jak gdyby całą przyszłość widział w chwili tej przed sobą. — Będziemy oboje! — dodał z uśmiechem tak błogim, że mu twarz rozpromieniła się dziwną jasnością, której odbłask wypogodził lica matki.

Dobrojewska poprawiała czepeczek na gęstych włosach, złotą aureolą okalających czoło jej Misi i z udanym dąsem robiła jej wyrzuty:

— Wstydź się!... Kto widział płakać przy ołtarzu?... *ça n'était pas comme il faut*. A przysięgałaś tak cicho, że cię pewnie nawet ksiądz kanonik nie słyszał, bo widziałam, jak nastawiał ucha i oczy mrużył; przecie wiesz, że kanonik jest trochę głuchy.

Dotknęła zlekka ustami jej policzka i ciszzej spytała:

— Czemu jesteś taka blada?... może się każesz rozsnurować?... musisz być zmęczoną po tylu toastach. Kolacya trochę za długo trwała, to prawda, ale to trudno. Raz w życiu trzeba siedzieć na takim cenzurowanem! Na mojem weselu dwie godziny wytrzymali mnie przy stole; myślałam, że nie dosiedzę do końca. Ale ty na prawdę pobladłaś, jak opłatek!... To pewnie z emocyi. No, no!... niema się czem tak bardzo przejmować.

Nachyliła się jej do ucha i szepnęła:

— To nie takie straszne, jak się wydaje!... Misia stała przed nią ze spuszczonej po-

wiekami i zaciskała usta, jakby w obawie, by nie wybuchnąć płaczem; znać było po niej, że całą siłą woli stara się opanować.

Skloniła głowę na obnażone ramię matki i przez chwilę przytuliła się do niej z zapałym oddechem, a potem ledwie dosłyszalnym głosem wyrzekła:

— Boję się, mamę!...

Dobrojewska wybuchnęła śmiechem.

— Ach, ty dzieciuchu!... poczekaj, powiem to Henrykowi, aby cię wysmiał.

Córka ścisnęła ją za ramię i z jakimś strwożonym spojrzeniem powstrzymała ją słowami:

— Nie trzeba, mamę!... proszę!

— O co chodzi?... — zagadnął teściową Taniecki, zbliżając się do żony.

Dobrojewskiej filuternie zabłysnęły źrenice, przechyliła kokieterjnie głowę i śmiejąc się, odpowiedziała:

— O, to są panińskie tajemnice! panie zięciu!... wszystkiego nie mówi się nawet mężom po ślubie.

— Misiu ma tajemnice przedemną?... nie sądzę; prawda Misiu?

Podniosła na niego oczy i zdawało się, że jeszcze bardziej pobladła, ale z wymuszonym uśmiechem próbowała go uspokoić:

— Mama żartuje; pan przecie zna mamę!

Objął ją w pól i z pieściwym wyrzutem rzekł:

— Jeszcze pan?... jeszcze pan?... Tu niema już pana i pani, jest tylko Misiu i Henio. No, proszę, proszę mi powiedzieć Henio!... tak, jak wtedy, pamiętasz?...

Wziął jej kształtną główkę w swoje dłonie, przyciągnął do siebie tak, że twarz przy twarzy mógł jej spojrzeć w same oczy i mówił:

— Proszę mi się dobrze nauczyć na pamięć, H-e, he, n-i-o, nio, Henio, twój Henio, twój mąż, twój pan, twój niewolnik, twoje wszystko od dnia dzisiejszego, rozumiesz?

I przycisnął czule, namiętnie, gorąco swoje usta do jej ust, zapominając w upojeniu o obecności obu matek, które się im przypatrywały.

— O, najwyższy czas, abyśmy się ulotniły, prawda pani? — wybuchnęła śmiechem Dobrojewska, zwracając się do matki Henryka. — Zostawmy młodych ze sobą, niech się czują do rana!... pojutrze przyjdziemy powiedzieć wam: dzień dobry, o ile się już obudzicie.

Taniecka skrzywiła usta z niesmakiem i podniosła się z fotelu.

— To prawda, że już czas na nas, — rzekła poważnie i uroczystym głosem dodała:

— Zostańcie z Bogiem i ze szczęściem swoim, moje dzieci!

Młoda para podeszła do niej, trzymając się za ręce i pochyliła przed nią głowy po ostatnie błogosławieństwo.

Dobrojewska przypominała sobie, że wypadałoby się w takiej chwili rozczerlić, przetarła chusteczką suche oczy i westchnęła:

— Ach, wszystko się kończy na tym świecie!... No, pocałuj mamę Misiu ostatni raz, jako panna!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nieszczęście.



Ciebiem wraz z światłem Bożem ujrzał nad kołyską,
Skryste jeszcze w przyszłości szatę tajemniczą;
Dziecko, czując, że twoją stanie się zdobyczą,
Ze smutnym szło uśmiechem na życia igrzysko...
Młodość zawiodła w marzeń krainę zwodniczą —
Na niebotyczne tęsknoty pnąć się urwisko,
Zapomniałem, że idziesz, jak cień zawsze blisko,
Nie słyszałem, jak w puchu kwiatów gady syczą.
Aż kiedy upadł pragnień ostatni gmach złoty —
Pierzchła uluda. Głucho szumi zwątpień morze,
Jakiś potwór wyciąga cheiwe ramion sploty —
Słyszę jęki przekleństw w czarnych skrzydłach chrzęście,
W krwawych ślepiach nienawiść, ból piekielny gorze:
Mileząc, zbliża się błądy... Ha, znam cię! Nieszczęście.

Stefan Machalewski.



PRAWO DO BRZYDOTY.



Dziwnym zbiegiem okoliczności po przeczytaniu w „Bluszczu“ pięknie pomyslanego artykułu p. t. „Kobiety brzydkie“, wpadło mi pod rękę sprawozdanie z *meetingu*, odbytego świeżo w New-Yorku, na którym jedna z amerykańskich feministek domagała się dla swojej płci—*prawa do brzydoty*. I jakież cel tych roszczeń? Posłuchajmy: „Czy kobiecie wolno być brzydką?—mówiła ta osobliwa zapasniczka.—Mężczyźni odmawiają jej tego prawa. Według nich, piękność jest naszym pierwszym i najświętszym obowiązkiem. Powtarzali nam to przez tyle wieków, że i my uwierzyliśmy temu wreszcie. Ileż niedorzeczności ogłoszono na ten temat!“

Rzecz prosta, owej pani Peer (tak się zowie apostołka) nie chodzi o brzydotę *wrodzoną*, bo taką trzeba przyjąć z konieczności i najgwałtowniejsza nawet opozycja feministek nie walczyłaby kobietom brzydkim prawa do urody. Pani Peer występuje w obronie brzydoty *nabytej*, którą daje brak starań o swoją powierzchowność, pogarda zalotności, wdzięku i sposobów używanych powszechnie, aby się stać „radością ludzkich oczu.“

Wprawdzie już od czasów, gdy rozbrzmiało hasło emancypacji, nie tylko w Ameryce były kobiety, noszące włosy krótkie, przebierające się za mężczyzn, ale stanowiły one na szczęście, wyjątek ośmieszony, jak wszystko, co jest przesadą, co jest przeciwne naturze. Dotychczas nie stawiano brzydoty, jako dogmatu, przeciwnie, od początku świata kobiety chciały i usiłowały podobać się mężczyznom. Do niedawna było to ich jedyną *racyą bytu* smutną zaiste.

Zmuszała je do tego zależność od pana i władcy. Rousseau tłómaczy to w jednym z ustępów swego „*Emila*“ w sposób, charakteryzujący poglądy jego epoki:

„Kobieta i mężczyzna—stworzeni są dla siebie wzajem, ale ich wzajemna zależność nie jest jednaką: mężczyźni zależą od kobiet przez swe pożądanja, kobiety od mężczyzn—przez pożądanja i potrzeby. My moglibyśmy



się łatwiej obejść bez nich, niż one bez nas. Aby *one* miały, co im potrzeba, *my* musimy im tego dostarczyć i uznać je godnymi otrzymania tych darów; zależne są od naszych uczuć, od wagi, którą przywiązujemy do nich, od stopnia, w jakim działają na nas ich wdzięki i cnoty. Samem prawem natury (?), kobiety są na łasce i niełasce mężczyzn: nie wystarcza, aby były godne szacunku, trzeba jeszcze, abyśmy je szanowali; nie wystarcza im być pięknymi, muszą nam się podobać!¹⁴

Rousseau kazał pamiętać o tem, wychowując córki. Chciał, aby od lat najmłodszych ćwiczone je w sztuce podobania się, bez której dodawał „wszelkie wszczepione w nie zasady nie przyczynią się ani do ich szczęścia, ani do naszego.“

Takie zaznaczanie przewagi męskiej i niewolnictwa kobiety wywołało protest, nawet w w. XVIII, przyzwyczajonym do podobnych zapatrywań, gdy kobiety żyły tylko „dla przyjemności“ mężczyzn i nie wiedziały jeszcze, że mają takie same prawa do życia, jak i oni.

Protest wyszedł z ust Angielki, Maryi Wollestoncraft i znalazł oddźwięk w sercach wielu kobiet.

Dziś najzagorzalszy mężczyzna—antifeminista uważałby zasady, głoszone przez Rousseau'a jako ostatni wyraz bezwzględności, egoizmu i braku poczuć ogólnoludzkich.

Ale—prawo do brzydoty nie znajdzie chyba zwolenników.

Pani Peer dowodzi, że takie prawo postawiłoby kobietę na jednym poziomie z mężczyzną, zapewniłoby jej równość—nie fikcyjną; nie taką, jaką dają uniwersyteckie dyplomy, lecz rzeczywistą, ważniejszą stokroć od prawa do głosu i do wybieralności. Z chwilą, gdy kobieta będzie mogła powiedzieć mężczyźnie: „Nie podobam ci się, jest mi to obojętnem“—z chwilą tą przestanie być samicą i zacznie panować nad światem, na równi ze swoim dawnym ciemieczą.

Łatwo zrozumieć, że feministki amerykańskie, zwłaszcza brzydkie (brzydota *wrodzona*) dążą do takiego zwycięstwa, ale byłoby to zwycięstwem Phyrusowem.

Zapewniłoby im rządy świata, ale pozbawiłoby ich zdobyczy. Przekształcając się w istotę nijaką, na wzór mrówki pracownicy, zdobywając prawo do brzydoty, kobieta straciłaby prawo panowania nad jednym sercem. I czy nie pożałowałyby tego po niewczasie? Wszak słynna matematyczka, Zofia Kowalewska umarła z takiego żalu, pokochawszy mężczyznę, który widział w niej jedynie istotę nijaką i nie chciał jej poślubić. Doprowadzona tem do rozpacz—umarła, poleciwszy przyjaciółce, spisanie dziejów swego żywota, aby posłużyły za naukę innym, któreby za jej przykładem „chciały pogwałcić prawa natury.“

Przypuśćmy nawet, że Kowalewska stanowiła wyjątek. Przypuśćmy, że natura omyliła się, przeznacząc kobietę na żonę i matkę, że młoda dziewczyna może być równie szczęśliwą, zostając kapitanem okrętu, nawet w takim razie prawo do brzydoty byłoby klęską, bo upadkiem rodziny. Gdyby zaczęło obowiązywać kobiety... porządne, zanikła-

by miłość uczciwa, a na jej miejsce rozpanoszyłaby się inna. Pani Peer nie spojrzała na swój wniosek z tego punktu widzenia, a jednak to punkt ważny.

Niepodobna zmusić wszystkich kobiet, aby dobrowolnie zechciały być brzydkie, aby się specyficznym ubraniem nie dbałem, nieporządnem. Znajdzie się zawsze liczna rzesza, która zastąpi chętnie istoty, rezygnujące z praw do miłości—uświęconej, a ta rzesza zwiększać się będzie w miarę zmniejszanej konkurencji w przeciwnym obozie. Łatwo sobie wyobrazić, jakie zwycięstwa odniosą te damy nad *niejakimi* feministkami.

Mężczyźni, mając do wyboru pomiędzy kobietą uczciwą, ale pozbawiającą się z zasady wszelakiego wdzięku, a mniej cnotliwą, lecz ubraną starannie, czysto i dbającą o swą zewnętrzność—przy niepojętem zamilowaniu do piękna, wahać się nie będą z wyborem. Obyczaje na tem nie zyskają.

Amerykańskie feministki powinny się też zastanowić przed uchwaleniem takiego prawa. Wolno jednak z góry przypuszczać, że nie przejdzie ono większością głosów... nie tylko mężczyzn.

F. Żm.



W SPRAWIE KOBIECEJ.

(Pour la femme par l'abbé Naudet. Paris, 1903).



Wszystkim stałem się wszystko, abym wszystkie zbawił.

Św. Paweł, I, do Koryntyan. 9—22.

Te słowa Apostoła narodów wziął za zadanie życia swego, jeden z tych dzielnych bojowników pióra, który w myśl wielkiego Leona XIII „wyszedł z zakrystyi“ i stanawszy w coraz potężniejszym hufcu demokratów chrześcijańskich, wziął się do pługa pracy socjalnej, a wprawna ręką porusza tę tak zachwaszczoną rolę, aby z niej wyszło obfite ziarno Chrystusowe.

„Demokracja chrześcijańska,“ „Własność, kapitał i praca,“ „Nasza sprawa socjalna,“ „Pierwsze zasady socjologii katolickiej,“ „Nasz obowiązek socjalny,“ „Demokracja i demokraci chrześcijańscy,“ oto tytuły główniejszych dzieł ks. Naudet.

Rzecz prosta, iż autor takich dzieł, pisarz o tak szerokim poglądzie, nie mógł pominąć także jednej z najważniejszych kwestyi socjalnych, jaką jest kwestya kobieca. To też przy sposobności często głos w tej sprawie zabierał, наконец wydał specjalne dzieło, którego tytuł przytoczyliśmy powyżej.

Piszący te słowa, pojmuąc całą doniosłość sprawy kobiecej w naszym społeczeństwie i pragnąc niewiastom naszym wskazać, jak mogą a więc i powinny łączyć obowiązki dobrej chrześcijanki z wykształceniem duchowi czasu odpowiedniem, przetłómaczył przed paru laty życie pani Lavergue i wydał je pod tytułem: „Niewiasta mężna“ z przedmową Deotymy.

Spotkawszy się więc z książką księdza Naudet, duchowo tamtej pokrewną, postanowiłem

dać o niej szczegółowe sprawozdanie, dzieląc się z publicznością uwagami, jakie mi jej odczytanie nastreczyło. Jakkolwiek bowiem dzieło ks. N. traktuje głównie, ale nie wyłącznie o Francyi, uwagi jego mogą przeważnie i u nas zastosowanie znaleźć. Głównie zasługuje na szczegółowe zbadanie to, co mówi o wykształceniu kobiet.

Z tego powodu dwa rozdziały pracy jego 8-my i 9-ty, traktujące o „Umysłowym rozwoju kobiet“ podam w streszczeniu, co będzie stanowić pod pewnym względem uzupełnienie „Ankiety o wyższem wykształceniu kobiet“ przez „Gazetę Polską“ niedawno podjętej.

W przedmowie swojej ks. N., wyluszczaając powody, które go skłoniły do napisania tej książki, powiada: „Minęło ćwierć wieku, jak sprawa kobieca jest na porządku dziennym, a w miarę postępu czasu doniosłość jej się zwiększa. Początkowo niektórym się zdawało, że rzecz tę należy zbyć uśmiechem, ale ich uśmiech niczego nie powstrzymał.“

Słowo w słowo, jak u nas.

I u nas także niektórym się zdawało, że sprawę kobiecą zabija dowcipem, a co gorzej, sarkazmem, lecz dowcip, chociażby najdowcipniejszy nawet, jest tylko dowcipem, ale nie argumentem. Jakkolwiek zaś przodkowie nasi słusznie mówili: „dobry żart, tyńfa wart“—ale tylko tyńfa. Tu trzeba złota—złota mądrości Bożej, złota miłości bliźniego. Sarkazm rani, ale nie goi, a gdzie łyż krwawe płyną, tam trzeba balsamu miłości z winem rozumu łączyć.

Mówiąc o przyczynach feminizmu, (Rozd. I) ks. N. słusznie uważa, iż spowodowała go zmiana warunków bytu:

„Wykształcenie i cywilizacja nowoczesna, jakkolwiek są niezaprzeczalnym postępem, jednakże wywołały biedy, których ojcowie nasi nie znali. Rozwój maszyn, będący także postępem, zmniejszył liczbę rąk do pracy potrzebnych; ztąd wiele kobiet, które coś produkowały, teraz są tylko konsumentkami, muszą więc szukać innych zarobków.“

Trzymając się zasady logiki tak często, niestety, u nas zaniebywanej, że chcąc mówić o jakiejś sprawie, trzeba przedewszystkiem jasno ją określić, ks. N. taką daje definicyę feminizmu:

„Jestto nauka, która upomina się o pewne prawa dla kobiet przez kodeks zapoznane i stanowisko dla nich w społeczeństwie słuszne i sprawiedliwe, którego im zaprzeczają obyczaje społeczne.“

„Feminiści nie pracują nad współzawodnictwem dwóch płci, lecz chcą połączyć ich usiłowania we wspólnej pracy dla dobra rodziny, ojczyzny i całej ludzkości.“

Nie podzielając zdania panny Faruham, która pisze: „Kobiety są doskonalsze od mężczyzn, ich moc charakteru jest delikatniejsza i bardziej uczuciowa. Kobieta jest tem względem mężczyzny, czem mężczyzna względem goryla“—bo to trochę za wiele, feminiści jednak twierdzą, że stanowisko kobiety jest istotnie zapoznane, a zatem katolicy powinni i tę sprawę podnieść, ażeby w niej, jak w wielu innych, nie uprzedzili ich nieprzyjaciele kościoła.

Następnie autor bardzo szczegółowo i dro-

biazgowo przechodzi rozwój feminizmu we Francji w ostatnich 50 latach (Rozdz. 2) i mówi dalej o wpływie religii katolickiej na zmianę charakteru kobiet (Rozdz. 3). Tu powołuje się na Sienkiewicza.

„W swoim pięknym romansie „Quo Vadis“, Sienkiewicz maluje nam precudownie nowy typ niewiasty chrześcijańskiej i przeciwstawia go typowi pogańskiemu, który przedstawiają Eunice i Poppea. Ta ostatnia, to kobieta rozwiedziona, która kończy swój żywot smutna i samotna, bez żadnej pociechy w życiu, bez żadnego zadosyćuczynienia za jej opłakane położenie; ta druga, to rozkochana kurtyzanka, która umiera w szacie białej i aby umrzeć z ukochanym, chętnie wyciąga swą wypieszczoną rękę pod cięcie lancetu, który już otworzył żyły Petroniusza, jej władcy i kochanka. Dwie te postacie są sympatyczne, ale ani jedna, ani druga nie mają poczucia swej godności, albowiem po przez ich piękno pełne poezji i czaru, nie przegląda dusza, a bez duszy niema prawdziwego piękna“.

„Naprzeciwno nich występują: Pomponia Graecina, smutna, jak Poppea, ale smutek to tak podniosły, że wobec niego, nawet taki niepoprawny sceptyk, jak Petroniusz, kornie schyla czoło — i Ligia, taka czysta, taka biała i taka zarazem czuła, że Winicyusz kocha w niej najprzód to ciało bogini, ale niebawem tysiąckroć razy więcej kochać w niej będzie duszę chrześcijańską, tę duszę, której piękność mistyczna, tysiąckroć wyższa od piękności ciała, nie ginie nigdy.“

Kobieta w rodzinie (Rozdz. 4) zajęła właściwe stanowisko dopiero przez kościół katolicki. On bowiem małżeństwo, podniesione przez Chrystusa do godności sakramentalnego, nierozzerwalnego związku, zawsze na tym szczyście utrzymuje. Władza świecka nie ma prawa dawać rozwodu, a gdzie — jak we Francji — to czyni, popełnia nadużycie.

Liczba rozwodów legalnych choć bezprawnych, we Francji w straszny sposób się zwiększa, bo gdy np. w 1885 r. było ich 4,640, to w 1890 cyfra ta podniosła się do 7,456. One to są głównie przyczyną zmniejszania się ludności Francji, nawet mimo nieco zwiększoną liczbą małżeństw.

Wielu się zdaje, a nawet niedawno w „Gazecie Polskiej“ sprawa ta była lekko potrącona, że ułatwienie unieważnienia małżeństwa, bo kościół katolicki rozwodów nie uznaje, przyczyniłoby się do zmniejszenia nieszczęśliwych małżeństw, a przez to do podniesienia moralności. To fikcja, którą, ks. N. cyframi zbija. Przed zaprowadzeniem tego prawa wytoczono przed trybunały francuskie 546 spraw o cudzołóstwo w jednym roku, a w sześć lat po zaprowadzeniu tego prawa, a raczej bezprawia, było ich 938!

Chciałbym, żeby sobie te cyfry zapamiętali ci i te, którym się zdaje, że zlagodzenie surowości kościelnej na tem polu podniosłoby moralność. Marzenie — raz jeszcze powtarzam, to fikcja tylko! Gdzież było łatwiej o rozwód, jak w pogańskim Rzymie, a gdzież mniej moralności, jak pośród tych mężów, o których pisze Seneka, że przez życie swoje po tysiąc *małżonek prawych* miewali?

Pod względem ekonomicznym (Rozdz. 5) nie-

sprawiedliwość wyrządzana kobietom wszędzie, a także i u nas jest poprostu krzyżująca.

Podając cyfry z różnych krajów, ks. N. zaznacza, że na 100 pracowników w Królestwie Polskim jest 63 mężczyzn a 37 kobiet. Procent to więc ogromny, a jak po macoszemu traktowany, jak niktzemnie wyzyskiwany!

Jeżeli jednakową pracę dokonywa mężczyzna i kobieta, to zdawałoby się, że zarówno rozum, jak sumienie nakazuje jednakowo ich wynagradzać, a jednak praktyka dowodzi, że zapłata kobiety bywa zwykle o trzecią część, a czasem i więcej, mniejsza, od zapłaty mężczyzny.

Dlaczego?

Nie dość na tem.

„Skoro mężczyźni odmawiają swej pracy za zbyt niskie wynagrodzenie, to kobiety ją przyjmują, bez względu nawet na niebezpieczeństwo z wykonaniem tej pracy połączone. Zastąpiono więc mężczyzn kobietami, bez względu na delikatność ich płci, a z podeptaniem uczuć ludzkości. Widzimy więc kobiety w fabrykach zapalek, oddychające zabójczym fosforem, zarówno jak w garbarniach, gdzie jest tak szkodliwy merkuryusz, a nawet w fabrykach nabożów, gdzie tak częste bywają wypadki i t. d., i t. d. A to bez względu na straszliwe cyfry statystyki, wykazujące, że np. w Lyonie, w fabrykach jedwabnych, przy jednakowej pracy, *trzy razy* tyle umiera kobiet, co mężczyzn.“

Tak pisze ks. N., a i u nas to samo się dzieje.

Widziałem w papierni kobiety, sortujące szmaty w strasznym zaduchu, w niskich izbach bez wentylacji; widziałem je pracujące w takich samych warunkach w cukrowniach i t. d.

Dlaczegoż więc — zawołać mi tu przychodzi z ks. N., — praca w gorszych warunkach i mniej płatna jest udziałem kobiet, gdy tymczasem lepszą i zyskowniejszą zajmują się mężczyźni?

Dlaczego np. na 37,000 fryzjerów w Niemczech, jest tylko 3,000 kobiet. U nas, sądzę, że niema ich prawie wcale, a jednak rzecz to widoczna, że pod każdym względem byłoby właściwsze, aby kobiety były czesane i fryzowane jedynie i wyłącznie przez kobiety.

Albo np. szklarstwo? Ile razy widzę mężczyznę w sile wieku, który w niewielkiej skrzynce niesie kilka szyb i z tem wędruje od chałupy do chałupy — gdy tymczasem w tych chałupach kobiety nieraz w stanie odmiennym, lub świeżo po słabości, dźwigają *muszą* wielkie ciężary, — to mi żal tych ostatnich i rozumiem najzawziętsze feministki. Całą tę plejadę wędrownych handlarzy powinny zastąpić kobiety, z których każda we własnej wsi czy miasteczku, mogłaby w tym zawodzie znaleźć pomoc do tak trudnego nieraz utrzymania.

A sklepy i sklepiki któż powinien prowadzić, jeżeli nie kobiety?

Prawodawca, pragnąc ułatwić właścicielom prowadzenie sklepów wiejskich, dozwolił w każdej wsi założyć sklep *bez żadnej opłaty*. Ale kto na wsi wie o tem? Sto razy więcej może i powinno być sklepów wiejskich, niż jest ich u nas, a i te, które są, prowadzą prawie

wyłącznie mężczyźni. Tymczasem praca to właśnie dla kobiety najodpowiedniejsza, bo nie wychodząc z domu, ma zajęcie lekkie, które do zwiększenia dochodów może się przyczynić.

Ujemną stroną książki ks. N. jest brak szczegółów ze wsi, a przecież zapewne we Francji, tak samo, jak i u nas, jednakowa praca kobiety gorzej, niż mężka, jest wynagradzana.

Dalej ks. N. rozbiera stanowisko kobiety wobec prawa (rozdział 6-ty). Jakkolwiek i u nas obowiązuje dotąd kodeks francuski, jednak pomijam tę materię, bo nie jestem w niej biegły, a dla ogółu czytelników cytowanie dłuższych ustępów uważam za zbyt nużące. Nadmieniam tylko, że wiele krzyżujących niesprawiedliwości prawnych, jak: traktowanie kobiety na równi z małoletnimi i wariatami (art. 442), albo skazanymi na karę hańbiącą (art. 443), albo z osobami znanymi z publicznej niemoralności (art. 444) itd., dzięki obyczajom, nie weszło w życie, mimo to jednak zmienionymi być winny.

Miejmy nadzieję także, że nowy kodeks u nas będzie sprawiedliwszy dla kobiety i zmieni tak krzyżące nadużycie w rozporządzeniu jej własnym majątkiem, który ona wnosi nie dlatego, aby mąż płacił nim swoje długie kawalerskie, ale żeby on służył dla utrzymania jej i jej dzieci. Bardzo a bardzo wiele fortun u nas nie byłoby zmarnowanych, gdyby prawo dało obojgu małżonkom jednakową władzę do czuwania nad ich całością. Gdyby mąż, trwoniący wiano swej żony, tak samo szedł do kryminału, jak każdy inny złodziej, trwoniący cudzą własność, toby panowie mężowie może ostrożniejszymi byli w swych wydatkach.

Minęły bezpowrotnie te czasy, w których Maćko z Bogdańca mówił do Jagienki: „Żebyś była głupia, toby ci się nie dziwował, boś od tego niewiasta, ale żeś mądra, to ci się dziwuje!“ — dziś mężczyzna widzi, a przynajmniej powinien widzieć w niewieście spełnienie słów Bożych: „Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczynmy mu pomoc *jemu podobną*.“

Tak więc niewiasta, która się po polsku *połowicą* zowie, powinna być pomocą mężczyźnie i jemu podobną w pracy na każdym polu, a więc i politycznem.

Dlatego to ks. N. rozdział 7-my swej pracy temu przedmiotowi poświęca, a kończąc go, mówi:

„Cesarstwo, które z wiadomością, czy bezwiednie przytłumiło tyle rzeczy szlachetnych i wielkich, powstrzymało też ruch w rozwoju życia politycznego niewiasty. Obowiązkiem naszym, jako katolików, jest dopomódz temu ruchowi, aby nie zeszedł z drogi chrześcijańskiej. A jeżeli niewiasta, jak się tego możemy spodziewać, pozyska zupełną swobodę obywatelską, to cieszyć się nam tylko z tego należy. Wtedy bowiem pobożność, cnota, podniosłość serca naszych kobiet chrześcijańskich, tem jaśniej świecić będą na świecie.“

„W miarę, jak niewiasta nauczy się myśleć, chceć i działać sama, zamiast, jak dotąd, być pod wpływem swego otoczenia, zacznie takowy sama wywierać! Będzie ona miała więcej inteligencji i siły charakteru,

a przez to i więcej szlachetnej dumy i będzie umiała lepiej swoich zasad i swojej wiary bronić.

Zrozumie, że ma posłannictwo społeczne, że ma znaczenie zarówno w ojczyźnie, jak w kościele, a to będzie dobrem dla Francji, a chwałą dla Jezusa Chrystusa."

Ks. A. Brykczyński.

(Ciąg dalszy nastąpi).



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

Rzymianka.

„Roma! Na kartach dziejów są słowa olbrzymie,
Co grzmia, jak łoskot gromu. Roma!... Na to imię
Mocarz dumnie brwi zciaga, mędrzec w myślach tonie,
Drży niewolnik, chrześcijanin kornie chyli skronie.

Roma!... Jakby zaklęcia tajemnicze słowo
To imię wpada w ciszę stuleci grobową —
I otwiera ogromny sarkofag przeszłości —
I owiewa tchem życia spopielale kości —
I stawia nam przed oczy takie wielkie cienie,
Że nas — karłów — przytłacza olbrzymów wspomnienie.

Spójrzmy pod Kapitolu strzaskane kolumny:
Oto tam patrycyuszów zasiadł orszak dumny;
Togi ich bramowane monarszym szkarlatem,
Na obliczach surowa godność z majestatem,
A tuż przy nich lśni zbroja — waleczny i srogi —
Legion, we krwi i dymie mordu i pożogi.

Po drugiej stronie, czyste, jak ich rąbek biały,
Westalki strzegą ognia narodowej chwały,
Przy nich matki zwycięzców, bobaterów żony,
Lśnią w złocie i klejnotach szlachetne matrony.

A tam, pod perystylów długą kolumnadą,
Gładyatorowie wdzięcznie do skonu się kładą,
Proletaryat klasycznie drapuje lachmany,
Dzwoni rój niewolników w złoczone kajdany,
A sług Nazarejczyka pogardzona rzesza
Patrzy w niebo — i przyszlą chwałą się pociesza.

Powyżej, nad tych tłumów różnobarwną falą,
Jak zorze, gdy na górskich szczytach się rozpala,
Albo luną czerwoną, albo smugą jasną,
Stoją ci, którym w tłumie za nisko, za ciasno.

Oto wcielona woli i rozumu siła,
Jakich kilka zaledwie ludzkość porodziła;
Nad czołem mu się mieni błyski szkarłatnemi
Gwiazda tych, co krwią znaczą przejście swe po ziemi,
Mocną prawicą wparł się w bary Europy,
A harda rzymska wolność legła mu pod stopy; —
To Juliusz Cezar.

Oto na złotym rydwanie,
Co ma zaprząg z tygrysów, z fijołków posłanie,
Leniwie rozciągnięty z lutnią w ręku złotą,
Obluzgany posoką, oplwany sromotą,
Kryjący skroni nikczemną pod laurowy wieniec,
Jaskrawy despotyzmu kwiat, tyran-szaleniec,
Domicyusz Neron.

Dalej stoją oto razem
Jednakowi imieniem, podobni wyrazem
Dwaj żelazni mężowie, duchem pobratani.
To prawa i wolności fałszywi kapłani,
Dumni tem, że ich serce nie po ludzku czuje,
To obadwaj Brutusy, bohaterzy-zbójce.

A tam, część potomności budząc i podziękę,
Oto szlachetni bracia idą ręką w rękę,
Patrycyusze, co pierwsi grubą dłoń nędzarza
Uściskawszy u ludzkiej godności ołtarza,
Krew swą dali na cement wspaniałej budowie
Praw i swobód człowieka. To bracia Grakchowie.

A któż są ci, co stoją wyżej niż Cezary,
Wielcy — jak z ziemi w niebo dźwignięte filary,
Ważący się w obłokach, jak powietrzni ptacy?
To Tacyt, Liwiusz, Pliniusz, Wirgili, Horacy,
To ci wszyscy, co myśli poloty orlemi
Wzbili się po nad ziemię, wysoko z nad ziemi,
Patrząc jasnowidzącą żrenicą natchnioną
W przeszłość, w serce człowiecze, lub w natury łono,
Licząc tętna społeczeństw, albo gwiazd obroty,
Śledząc w otlaniach prawdy jaki promień złoty.
Zniknął ślad tych, co mieczem pruli świat na ćwierci,
Lecz oni dotąd żyją, — bo myśl nie zna śmierci.

Lecz gdzież niewiasta rzymska? w nieśmiertelnych rzędzie
Czyliż jej tylko miejsce opróżnionem będzie?
Niel i te wątle palce, co kręć wrzeciono,
Znaczyły kartę dziejów białą lub czerwono.

Oto kapłanka cnoty i małżeńskiej wiary,
Co nie waha się z życia uczynić ofiary,
By śmiercią skarb ocalić swej ucziwej sławy.
Czysta jej dłoń w pierś wierną wbija sztylet krwawy,
Krwawa struga ją stroi w szkarłat czei niewieściej,
A w tej purpurze kona bez jęku boleści
Małżonka Kollatyna.

A obok niej wdowa,
Co jednemu mężowi całe życie chowa
Wieczną pamięć — i gardzi królewskimi swaty, —
Co z monarszą powagą nosząc proste szaty,
Świeci blaskiem zacności, a nie lamy złotej,
Nie szyję w perły stroi, ale życie w cnoty,
Co umiała wychować wnuków godnych dziadka, —
Zacna córa Seypionów, dzielna Grakchów matka.

Były sławne inaczej, gdy takich nie stało.
Oto bezduszne, ale cudnie kształtne ciało,
Alabaster, pod którym tętno życia bije,
Różniąc nagie ramię i odkrytą szyję.
Oczy tak wabnie chwieją rzęsy wachlarzami,
Uśmiech ust purpurowych tak rozkosznie mami,
A w każdym geście, w każdym ruchu tego ciała,
Drga rozkiełznana krewkość, żar namiętny pała.
To Poppea Sabina.

A tu obok druga,
Razem groźnie brwi zciaga i zalotnie mruga,
Cynicznymi uśmiechy bezwstydnie wabiąca
Wśród krwawych trofeów, zciętych głów tysiąca.
To władczyni nikczemnych żądz swych niewolnica,
Wilezyca obyczajem, sercem tygrysyca,
Messalina.

Nakoniec dopelnia się miara
Chwały — pychy — zepsucia. Wyczerpana, stara
Roma umierać musi. Ale z jej popiołów
Dobędzie się rybaczka cennych pereł połów;
Trupa zgrzybiałej Romy rozłoży zgnilizna,
Lecz z tej nowe da kwiaty rzymska ziemia żyzna.

Oto starzec ubogi, bosi i obdarty,
Nie na mieczu zdobywcy, lecz na wiośle wsparty,
Z pogardzonego kraju przychodzień wzgardzony
Przychodzi zwalić pychy i przemocy trony.
Czemże tego dokaże? Czyliż zbrojną siłą?
Czy jakieś filozofii teorią zawila?
Niel On przychodzi zmienić całą postać świata
Tylko iskrą miłości, co nad ziemię wzłata,
Tylko zasadą prostą, jak rozsądek zdrowy,
Tylko duchem i prawdą natchnionemi słowy.
Ród jego i stan jego w świecie nie nie znaczy,
Nie zna mędrców helleńskich ten umysł prostaczny,
Lecz ów rybitw, zgarbiony pokorą głęboką,
Ma w sercu taką wiarę, że stał się opoką,
Której posad nie wzruszą Jowiszowe gromy.
To Piotr — ostatnie słowo starożytnej Romy."

Przegrywką tą — wyjętą z dłuższego poematu — pozwałam sobie rozpocząć szkic dziejów obywatelki przesławnej Romy.

Obywatelką była rzymska wolna niewiasta rzeczywiście. Prawnie wprawdzie nie usamowolniona w żadnym swym położeniu, w żadnej epoce dziejowej; owszem, zawsze i nieodmiennie poddana nieograniczonej prawie władzy ojca, męża, a w braku tychże, jak małoletnia, zależna od opiekunów, miała je-

dnak zawsze niepoślednie znaczenie i niemałe wpływy.

Rzymianin był nadewszystko wojowniczym, ale nie awanturniczo-heroicznie, jak Grek, tylko utylitarnie. Hellenów parła do boju wrodzona zuchowatość, nieraz bezinteresowna, najczęściej zaś gorący patryotyzm — i walki ich były przeważnie obronne. Rzymianie przeciwnie, prowadzili głównie wojny zaczepne, i krew przelewali nie dla rycerskości, lecz dla racji stanu, którą stanowiło przypisywane sobie przez nich prawo władania światem. Pierwsi i drudzy najbardziej w swoich okresach wojowniczych lekceważyli kobiety; ale to, co u Greków było pychą silnych wobec słabego, u Rzymian wychodziło — jak wszystko — nie z wrażenia lub uczucia, lecz z praktycznego rozumu. W czasie wojennym najkorzystniejszą jest tęgość fizyczna, więc istota najmniej jej mająca, na najdalszym planie stać musiała.

Ale po za nieudolnością swą do wojennego rzemiosła, kobieta w innym zakresie pożyteczną była, a pożytek ten był tak znacznym, że on to właśnie dawał jej możność do zdobycia pewnego znaczenia. Obywatele przebogatego Rzymu mieli znaczne, czasem ogromne majątności. Domy ich zawierały niezmierną obfitość dobra wszelakiego, roili się od mnóstwa niewolników, urządzone były ze zbytkiem i przepychem. Wynikała ztąd potrzeba zdania tych wszystkich zasobów na wierne ręce, powierzenia roztropnej głowie i sprężystemu zarządowi dyrekcyi tego wszystkiego. To też matrona rzymska była to pani w całym znaczeniu tego słowa, miała pełność władzy nad mnóstwem poddanych, a złą lub dobrą administracją domową mogła przynieść znaczne szkody lub korzyści. Wywierała się też ze swego zadania znakomicie, mając w usposobieniu tę samą, co u mężczyzn, chociaż inaczej stosowaną, energię.

Jak mądrość była specjalnym darem Greków, tak znamieną cechą narodową Rzymian była energia. Pierwsi i drudzy posiadali te swoje właściwości w stopniu tak wysokim, że zapewniły one pierwszym umysłowe, drugim polityczne panowanie nad światem im współczesnym, i nawet po upadku rozciągnięły to panowanie aż dotąd, w rozmaitych obławach występujące u społeczeństw nowożytnych. A gdy się potem zjednoczyły z sobą grecka idealna siła myśli i rzymska realna moc czynu, zespolenie to wytworzyło taką potęgę, jakiej nigdy poprzednio nie było i zapewne nigdy w przyszłości nie będzie.

A jednym z poważnych składników rzymskiej potęgi była ekonomiczna działalność energicznej matrony.

Na początku rzymskich dziejów, a raczej w pierwszej dziejowej legendzie, widzimy symboliczne wilcze gniazdo. Romulus i Remus — zaczątek społeczności rzymskiej — wykarmieni przez wilczycę, to zapowiedź żarłoczości wilka i cynizmu wilczycey, które z mlekiem wyssały owe przybrane wilczęta.

Rzymianki pod względem etycznym stały wysoko tylko w początkowym okresie. Za czasów potęgi państwa rzymskiego, aż do spularyzowania się zasad chrześcijańskich, obyczaje rzymskie były wprost wilcze. Mężczyźni prawnie i zwyczajowo żyli bez moralnego

hamulca, kobiety postępowały prawie tak samo, tylko mniej lub więcej skrycie. Religia, tak ściśle pod względem formalistycznym przestrzegana, w treści swej nie miała wcale pierwiastku etycznego; bogowie albo z pobłażliwym uśmiechem na rozpustę patrzyli, albo ją uświęcali Luperkaliami, obrzędami Wenerzy, uroczystościami Bachicznymi i t. p.

Pięknie wprawdzie świeciła wśród ogólnego zepsucia dumna czystość jakiej „uniwiry“, lecz wyjątkowość tego zjawiska stwierdzała powszechność obyczaju.

Drugą więc, obok praktycznej energii, charakterystyczną cechą rzymskiej kobiety (właściwie z późniejszej doby)—była rozwiązłość.

Przykłady kobiecej energii i mocy charakteru spotykamy już w samych początkach historii, a mających się stać matkami przyszłych rzymskich obywateli Sabineek.

(Ciąg dalszy nastąpi).



NASZ

KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



(Ciąg dalszy).

X.

Szanowna Redakcyo!

Kwestyonaryusz Macierzyński zainteresował mnie bardzo i przyznaję, że pierwszą myślą było zaraz pospieszyć z odpowiedzią. Brakło mi jednak na razie odwagi. Skoro jednak Redakcyja mylnie milczenie nasze zrozumiała, pragnę z całą otwartością wyrazić swoje zdanie, uczucia i przekonania.

Doświadczenia wieloletniego ofiarować nie mogę, jestem bowiem młodzieńką mężatką, o której mówią, że losy są dla niej łaskawe. A doświadczenie przecież zdobywa się wiekiem, troską i zawodami.

Szczęście swoje i drugich zależy po części od nas samych. Szukać go trzeba w pełnieniu obowiązków i prawdziwym wykształceniu. Wypełnianie obowiązków ułatwia i uprzyjemnia głęboka religia i prawdziwa miłość kraju rodzinnego, a mojem zdaniem, są one główną podwaliną szczęścia życia naszego.

Bo już małej dziecinie umilają nie jedną chwilę obchody religijne i ludowe. W przykrościach i kłopotach życia, myśl o Bogu i poświęceniu się dla współbraci, dodaje otuchy kobiecie. Mężczyzna w twardej walce o byt, po chwili modlitwy wychodzi z Przybytku Bożego pokrzepionym i wzmocnionym, a serdeczna troska o przyjście z pomocą społeczeństwu, odradza go i uszczęśliwia.

Wszczepiając w maluczkie zasady religii, oddajemy im przysługę w życiu, w które iść mają na dół, niedolę i trud.

Kobieta zdolną jest uszczęśliwiać swoich najdroższych, tylko zupełnie szczerze z nimi postępując.

Musimy też już w zaraniu życia zakorzenić w naszych Milusińskich zupełną otwartość i szczerłość dla osób życzliwych. A któż jest lepszym powiernikiem dzieci, jeśli nie rodzice, a w późniejszych latach, mąż, ten przyjaciel dożgonny?

Nadmieniam i to także, że w ciężkich chwilach brak szczerości prowadzi do rozpaczki, a nieraz i do samobójstwa. Boć trudno znośić samemu człowiekowi tyle nieszczęść i zawodów, jakie życie daje.

Niechaj więc dziecko, choć może innych

przekonań, niż jego matka, ze wszystkiego jej się zwierzy, niech ona wie o każdej myśli dziecka, a wtedy o ileż łatwiejszym będzie życie nasze!...

Względem mężczyzn jestem prawdziwą optymistką, może dlatego, że w mężu mym znalazłam prawdziwego przyjaciela, a widząc w nim wiele przymiotów umysłu i serca, dając go w zamian pełną czarą uczucia.

Wnośmy spokój, trochę oszczędności i gospodarności w nasze progi, osładzajmy naszym mężom chwile wolne od umysłowej i fizycznej pracy, a może i oni rozpogodzą zachmurzone nieraz czoła, a może na ich licach uśmiech zawita, który oznajmi nasze zwycięstwo.

A gdy małe istotka zawita do gniazdka, niechaj nigdy waśnie i gniewy nie zmrożą jej istnienia. Starajmy się, by atmosfera domu była ogrzana ciepłem miłości, opartej na wspólnym szacunku i zaufaniu, a wychowamy pokolenie na chlubę społeczeństwa.

Czy lepiej posiadać więcej, czy też mniej dzieci, nie wiem, to jednak mogę nadmienić, że gdyby moja mała córka uprosiła u Matki Bożej braciśzka lub siostrzyczkę, przyjęlibyśmy nowego przybysza pod naszą polską strzechę z miłością i nadzieją.

Staremi pannami nie tylko nie pogardzam, lecz owszem widzę w tych pracownicach kobiety, które więcej pracy i poświęcenia wkładają w swe czyny i więcej zdziałać potrafią, nie zasklepiając się w ramach swego ogniska, a praca tychże, choć nie w tak świetlanych, ale dalszych rozchodzi się promieniach.

Chcę prawdziwą kształcenia się pojmując całą mą duszą, która się rwie do nauki, i nieraz żal mi, że lata mych studiów tak prędko ubiegły. Im więcej się uczy, tem więcej ta nauka pociąga do siebie. Im więcej czasu zabiera, tem droższą się staje. Wyższe wykształcenie potrzebnem jest tak dla mężczyzny, jak i dla kobiety. Jednakowy przynosi pożytek, jednakową radość sprawia.

Tego jednakże nie pojmuję, dlaczego czasem wyżej kształcące się kobiety, chcąc innym zaimponować, przybierają zewnętrzne oznaki. A więc nienaturalne ruchy, zmianę uczesania, kołnierze i t. p. Według mnie, prawdziwie mądra kobieta czy panienska, w każdym słowie okaże swe umiejętności i nie potrzebuje na nie sztucznie zwracać uwagi. Szukając w świecie wiedzy, należy mieć odpowiednie wychowanie, zaczerpnięte w domu rodzicielskim. Bo biada temu, kogo świat wychowuje. Jakże przykre mi są często nauki i uwagi przez obcych udzielane! Ja całe moje domowe wychowanie zawdzięczałam ukochanej matce, ojca bowiem wcześniej straciłam.

Nigdy nie zdołam wypłacić się matce za trudy dla nas poniesione.

Co do literatury, to stanowczo hołduję dawnemu kierunkowi. Nie masz geniusza nad Mickiewicza i Słowackiego. A utwory Sienkiewicza są moją ulubioną lekturą. Przyznaję, że z dzisiejszych, wiele jest talentów z iskrą Bożą, ale też i wiele błędnych ogników, które dokąd zaprowadzą?

Bardzo drogim jest mi czas na czytaniu poważniejszych dzieł spędzony. A z prawdziwą radością dodam muszę, że wiele miłych chwil zawdzięczałam „Bluszczowi.“ Już nie które ustępy czytywałam z rozkoszą w latach dziecinnych, a i dzisiaj z równą lubością zaglądam w karty tego pisma, stwierdzając w każdym prawie numerze, że się coraz lepiej rozwija.

O malarstwie zamilczę, gdyż jestem zamał uzdolnioną w tym kierunku, by sąd mój miał jaką taką wartość.

Oto słów kilka, wypowiedzianych nieudolnie, gdy jednak doświadczone matrony polskie ociągają się z pouczeniem nas, ja do listów, jakie się znajdują w redakcyi „Blu-

szczu“, dołączam mój nikły polny kwiatusek przekonań i doświadczeń.

Czytelniczka „Bluszczu“ z nad Dunajca.



Dzieci, a piosenki.



Najbardziej to zbliżone i zbratane z sobą: dzieci i piosenki, bo też nie tak ze świata wielkiego nie spieszy do kolebki dziecka, jak nuta pieśni, która najpierwszy raz ukołysze, najpierwszy płacz utuli, najpierwszy uśmiech wywoła.

I kiedy piosenka u kolebki nucić pocznie, to już nie odstępuje potem dziecka, jeno idzie z niem wszędzie, jak za tą ptaszyką, co z gałęzi na gałąź fruwając, bezustannie świegoce i nuci.

Spiewa dziecku niania wiejska, spiewa czasem mamka, ta biedna, której pieśń ból zawiadzonego życia opowiada, spiewa młoda matka, rojąc promienną przyszłość, spiewa babcia siwowłosa, której pieśń całą mgłą wspomnień rysuje.

A potem... choć już kolebka dawno wyniesiona i łóżeczko przyciasne, choć już do snu malca nie trzeba spiewaniem układać, piosenka nie odstępuje i towarzystwa swego nie odbiera. Boć już teraz dziecko samo spiewa i to nieraz tak donośnie i hałaśliwie, iż uciszyć go nie można, chociaż mamę głowa boli, chociaż ojcu przeszkadza w pracy, chociaż i inni o to wołają.

Hygiena wyjaśnia przyczynę tego. Oto młode płuca potrzebują rozszerzania się, oto organizm pragnie gimnastyki krtaniowej, więc ztąd spiewanie staje się nieraz zbyt silne i męczy słuchaczy. Ale psychologia twierdzi, że i dusza dziecka już tu nie jest spiącą machiną, ona przez piosenkę pochłania wiele wrażeń, budzi rozmaite uczucia, rozwija bardzo pamięć, więc dlatego dzieci bardzo lubią spiew i chętnie uczą się piosnek.

Dzieci, zamknięte w suterenach, spiewają tak samo, jak i dzieci bujające w wygodniejszych mieszkaniach, tak samo dzieci chodzące na błoniach za gąsieniami, jak i te, co ledwie w ciasnym podwórku kamienicy pobiegać mogą, lecz przecie, jaka to różnica w piosenkach dzieci i ile tu odmian charakterystycznych!... Jedne dzieci umieją piosenki sztucznie zasiewane, jakieś arye z oper, jakieś francuzkie i niemieckie „melodye“, coś, co ani nie odpowiada duszy młodej, ani nie jest swojskie lub zgodne z temperamentem narodowym. Inne spiewają dzikie, ostre, nieobciosane ani moralności prawem, ani piękną ręką obrobione, hulaszczcze zwrotki, których się nasłuchują od starszych i ani rozumiejąc treści, wpijają w pamięć raz na zawsze siłą najpierwszych wrażeń. Gdzieindziej znów każą się uczyć dzieciom piosnek smutnych, ponurych, gdy temperament nasz z natury żywy i ognisty, pragnie mazurków lub krakowiaków takich, żeby aż wszystko od nich w tan się rwało.

Z piosenkami dzieci należy obchodzić się bardzo ostrożnie. Przedewszystkiem spiewu

im nie zabraniać, ale jeżeli mają śpiewać, to niech poznają pieśni ludowe, pieśni swojskie i te pełne uroku religijne, które lud śpiewa po kościołach.

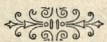
Ileż to razy spotyka się panienkę podrosłą i wykształconą, która wyciąga przy fortepianie „barkarole” lub „arye,” a nie umie zanucić ani jednej z naszych piosenek. Lecz nuda jeszcze tam czasem docisnąć się bodaj przypadkowo do ucha i w pamięci zapisze, ale słów najpiękniejszych naszych pieśni nikt nie nauczył i idą one tak w zapomnienie, jak stare, spleśniałe graty.

My — z piosenek dzieci robimy w wychowaniu zabawkę, a błądzimy tem bardzo. Piosenki wpijają się w młode serca, jak dłuto rzeźbiarza w marmuru bryłę i rzeźbią, i ryją, i piszą znaki niezatarte. Komu już nad kolebką nuca pieśni swojskie, temu późniejsze, twarde warunki życia uczuć nie wyziębnią.

Pieśń w wychowaniu musi się tak snuć, jak złota nić w tkaninie ozdobnej. Pieśń swojska nastraja myśl i uczucie harmonijnie, a obce, sztucznie zaszczerpione „arye” mogą być tylko tam podawane, gdzie już fundament silnie zbudowany.

Lecz nie dość nauczyć dzieci śpiewać; powinno się jeszcze otoczyć opieką pieśni ludowe i wybraawszy odpowiednie, wpłatać je w tkaninę młodej pamięci. Kolebią one młode serca słodko, a w życiu — później — niejednemu raz, jak technieniem ożywcem owioną.

Jadwiga z Z. Strokowa.



Kwiaty i chwasty.



Stefana Żeromskiego „Popioły,” — Wacława Gąsiorowskiego „Rok 1809-ty.”

Na tym świecie znaczy łut szczęścia więcej od całego centnara pracy, zasługi, talentu. Jednemu gołą tępą koziki, drugiemu odprawiają posłuszeństwa najostrzejsze brzytwy. Są uczeni, artyści, belletryści, którym współcześni płacą za talent, za trud bezsensownych nocy, za ból twórczości lekceważeniem, obelżywem pomijaniem, nędzą; inni zaś stają się odrazu, bez wielkich wysiłków, ulubieńcami szerokich mas i biorą pełną ręką nagrodę obfitą.

P. Stefan Żeromski należy do autorów szczęśliwych. Już jego pierwsze obrazki, pierwsze próby zdobyły mu rozgłos powszechny. Jeszcze nie miał czasu rozwinąć się, dojrzeć, kiedy mu podawano zewsząd wieńce laurowe. Jest to jego wygrana na loteryi życia. Wygrał szczęście do sławy, czego mu oczywiście nikt nie zazdrości, wieńce bowiem sławy zamieniają się w końcu zawsze w wieńce cierniowe.

P. Stefan Żeromski jest prawowitym synem najmłodszego pokolenia, które wyrosło z gruzów, z rozwianych złudzeń entuzjazmu pozytywistycznego. Wziął on w siebie wszystkie bóle, łzy, niezaspokojone pragnienia, wszystkie rozpaczę swojego czasu; wypił cały kielich nowoczesnego pesymizmu. Głównie niedola inteligentnego proletariatu zapadła głęboko w jego tkliwe serce („Ludzie bezdomni”).

Talent, rozwijający się w jednym kierunku, zużywa się z czasem, marnieje. Zrozumiał to p. Żeromski i dlatego przerzucił się

w swoim najnowszym dziele, w trytomowej powieści p. t. „Popioły,” do historii.

Nie on pierwszy upodobał sobie „wielką epokę” Napoleońską. Drogę wskazał mu p. Wacław Gąsiorowski, autor „Huraganu,” „Roku 1809-go” i całego szeregu drobniejszych obrazków, wysnutych z wypadków pierwszych lat XIX-go wieku.

Przejrzysty, zwięzły rozbiór „Popiołów” nie jest wcale zadaniem łatwym, Żeromski bowiem robi wszystko, aby utrudnić sprawozdawcy robotę. Niema się poprostu o co zaczepić. Czyta się jeden tom duży (383 strony), czyta się drugi tom duży (406 stron) i nie wie się, kto stoi w środku akcyi, kto łączy w jedną całość rozbiegające się ciągle na wszystkie strony wypadki. Wprawdzie występują na burzliwym tle zawieruchy wojennej trzy postacie (Rafał Olbromski, Krzysztof Cedro i książę Gintułt) częściej od innych, żadna jednak z nich nie panuje nad czynnością powieści, przychodząc i odchodząc bez potrzeby, jedynie dlatego, że się tak autorowi podoba.

Dobra budowa każdego dzieła, czy artystycznego, czy naukowego, polega na ogarnięciu, przetrwaniu i uporządkowaniu danego materiału. Zanim się siada do pisania, trzeba być panem przedmiotu, trzeba widzieć dokładnie główne zarysy całości. Niejeden szczegół, epizod sam w sobie bardzo dobry, okaże się zbyt czynnym, psuje harmonię ogólnego rysunku, gdy doświadczono oko rutynowanego technika podda zebrany materiał surowej krytyce.

P. Żeromski nie jest dotąd doświadczonym technikiem powieściopisarskim, nie umie uporządkować bogatszego materiału, spleść większej ilości sytuacji, wypadków, charakterów w całość jednolitą, przejrzystą. Jego „Popioły” rozpadają się na szereg poszczególnych obrazów, miejscami bardzo ładnych, ale powiązanych z sobą, tłoczonych się bez ładu, bardzo często niepotrzebnie. W tym chaosie ginie zupełnie wątek fabuły, przerywany bezustannie. „Popioły” robią wrażenie starego domu wiejskiego, do którego każde pokolenie dobudowywa, dolepia jakąś przystawkę, jakiś ganek, pokój, facyatkę, kawał dachu i t. d.

Mówi się dziś: pokolenie najmłodsze rozszerza ciasne granice techniki artystycznej, wynajduje nowe formy. Obrona to sofistyczna, adwokacka, zawsze bowiem polegała i polegać będzie dobra kompozycja na harmonii, na panowaniu całości nad szczegółami. I mówi się jeszcze: najmłodsze pokolenie zerwało z tradycjami dawnej bajki, intrygi. I ta obrona nie przekonywa nikogo, powieść bowiem powinna być przede wszystkim powieścią, czyli dziełem sztuki, które „zajmuje.” Powieść bez zajmującej, umiejętnie splecionej bajki jest nudna, męcząca, nikt zaś nie ma potrzeby nudzić się, męczyć nad powieścią. Są od tego dzieła naukowe, podręczniki, gramatyki i t. d.

Kto posiada oprócz talentu twórczego głowę jasną, logiczną, będzie zawsze zwięzły, jednolicie komponował, choćby tylko dlatego, że nie potrafiłby inaczej, w głowie bowiem logicznej układa się wszystko przejrzysto. Lekceważenie technicznej strony dzieł artystycznych nie było nigdy ich zaletą.

Czy chaotyczna budowa p. Żeromskiego jest skutkiem jego krótkiego jeszcze doświadczenia powieściopisarskiego, czy też wadą organiczną jego talentu, pokaże przyszłość. Dwie większe powieści nie wystarczają do pełnej charakterystyki autora utalentowanego. Być może, iż bogaty zawsze materiał historyczny rozpadł się na strzępy w rękę pisarza, przywykłego dotąd operować w ciasniejszych granicach motywów współczesnych. Historia, zwłaszcza tak płodna w niezwykle wypadki, jak epopeja Napoleońska, gromadzi tak wielką ilość sytuacji barwnych, groźnych, potężnych, wyrzuca na wierzch tak dużo lu-

dzi, charakterów niepospolitych, iż trzeba mieć bardzo wprawne oko, by z przelewającego się materiału wybrać części konieczne.

Talentu twórczego Żeromskiego trzeba szukać nie w całości dzieła, lecz w jego częściach poszczególnych, z których niektóre są skończonemi nowellami. Doskonale odtworzył autor bunt Rafała Olbromskiego przeciw władzom szkolnym, jego bitwę z służbą, doskonale kulig i jego romansową wyprawę i walkę z wilkiem. I sielanka Rafała w górach, w objęciach ukochanej kobiety, zostaje w pamięci obrazem niezatartym.

Żeromski kocha naturę, odczuwa ją, widzi dokładnie. Może tu i ówdzie zbyt dokładnie, zestawia bowiem skwapliwie najdrobniejsze szczegóły krajobrazu, żalując najblźszego, przez co zaciera czasami wyrazistość rysunku. Pejzaż artystyczny, jeżeli ma wywołać wrażenie powinien być „wrażeniem.” Ścisłość naukowa nie obowiązuje artysty.

Główną siłą talentu Żeromskiego jest subtelna psychologia, wnioskująca najchętniej w dusze smutne, poszarpane, nieszczęśliwe. Temu współczuciu z wszelką niedolą chwili obecnej, głównie proletariatu inteligentnego, zawdzięcza autor u ludzi bezdomnych swoje zaszczytne stanowisko w literaturze współczesnej.

Lecz właśnie ta przednia zaleta talentu Żeromskiego, służąca mu znakomicie w powieści współczesnej, traci swą moc w powieści historycznej, opartej na wojnie. Bo wojna nie widzi, nie uznaje jednostki, nie roztkliwia się nad jej bólami i rozczarowaniami. Tam, gdzie jednego dnia giną tysiące, zabierając pod ziemię wszystkie troski i żale, gdzie idzie o losy całych narodów, niema miejsca dla jednostki. Czemże skarga jednostki wobec jęku tysięcy umierających żołnierzy? Wojna pędzi, jak huragan, straszna, groźna, potężna, każde jej słowo, to krótki rozkaz, każdy ruch, to czyn. Wojna leci z szalonym pospiechem trąby powietrznej. Nie godziny, lecz minuty nieraz liczy. Na wojnie niema miejsca dla dusz poszarpanych, charakterów złamanych, chwiejnych, niema czasu do medytacji, do pesymizowania. Zatrąbią, — siadaj na koń, albo stawaj w szeregu, bo gdybyś się chciał bawić w filozofa, dostaniesz kulą w łeb i basta.

Zapomina o tem kontemplacyjny umysł Żeromskiego i psuje mu rysunek żołnierza. Wojownicy „Popiołów” medytują, myślą, rozumują za wiele. Z takimi filozofami nie wygrałby Napoleon ani jednej bitwy. On potrzebował ludzi szybkich, jak burza, przytomnych, jak wcielona czujność, odważnych, jak „głodne lwy.” I takimi byli ci, co szli w wąwozy Somossierskie.

Niema w „Popiołach” karność i potęgę wojny, ale jest za to jej ohyda, jej dzikość, jej rozbewstwienie. Na ujemną stronę wojny, na jej rozkiełznaną zwierzęcość kładł Żeromski główny nacisk. Jego oblężenie Saragossy może obrzydzić każdemu sławę wojenną. Z wielką, dramatyczną siłą odtworzył okrucieństwo człowieka, broniącego życia, ogniska domowego i miasta rodzinnego.

Z predylekcyą pesymisty, który widzi przede wszystkim czarną stronę wszystkiego, na co spojrzy, kopie się Żeromski w ohydzie wojny, wydobywając na jaw wielkie bogactwo okropnych szczegółów. Tak dużo jest tych szczegółów, tych epizodów, iż obraz ginie pod ich splotami. Raz tylko jeden maluje autor pełną bitwę — pod Raszynem — maluje ją z dokładnością stratega, ale bez entuzjazmu. W retorce pesymizmu Żeromskiego zmienia się wszystko w... popioły.

Innemi oczyma patrzy na wojnę p. Wacław Gąsiorowski, autor znanego powszechnie „Huraganu.” Patrzy może powierzchowniej od p. Żeromskiego, ale za to szerzej.

Po „Huraganie” przyszedł „Rok 1809-ty”, dalszy ciąg epopei Napoleońskiej.

Po wielu latach niepokoju, ciągłej obawy

zdawało się nareszcie Warszawie, że będzie mogła wypocząć, skupić się, zabrać się bez żadnej już przeszkody do gojenia licznych ran, do łatania licznych dziur. Księstwo Warszawskie, poparte protekcją Napoleona, obiecywało dłuższy pokój.

Ale nadzieje skolatanego kraju zawiodły. Nagle, niespodziewanie, bez żadnej zaczepki ze strony Księstwa, stanęły wojska austriackie nad granicą. I znów połała się krew.

Ta nowa wojna (rok 1809-ty) jest treścią drugiej powieści historycznej p. Gąsiorowskiego.

Autor „Huraganu“ zabrał się do roboty praktyczniej od Żeromskiego. Wysunął on na pierwszy plan jakiegoś Tadeusza Zabielskiego i prowadzi go przez całą czynność powieściową. W ten sposób, stworzywszy sobie punkt oparcia, ułatwił sobie kompozycję.

Tadeusz Zabielski, burmistrz w miasteczku polskim, zostając pod rządami Austriaków, dowiaduje się o niespodziewanych poborach, o grożącym Warszawie najeźdźcie. Chcąc ostrzedz władze Księstwa o zdradzie austriackiej, udaje się do Warszawy, a nie mogąc wrócić do Ostrowia, odbywa z wojskiem polskim całą kampanię. Zbliżony stosunkami do głównych aktorów wojny, widzi ją z bliska a z nim razem widzi ją czytelnik.

W „Roku 1809-ym“ wracają znane z „Huraganu“ postacie: Książę Józef Poniatowski, Dąbrowski, Zajaczek, Fiszer, legionieści, szwoleżerzy i t. d. Akcja rozwija się bardzo szybko, prze z rozmachem wojny ku przodowi, pełna huku armat, brzęku i szczęku oręża, krótkich, urywanych okrzyków komendy. Trochę może za wiele łoskotu wojny w „Roku 1809-ym.“ Nie słychać w tej bezustannej wrzawie głosów innych, głosów narodu, który nie stoi w polu pod bronią, nie widać po za chmurą dymu bitew kraju, jego wyglądu, jego usposobienia. Na pierwszych kartach powieści zaczął Gąsiorowski podmalowywać dobrze, ale w dalszym ciągu zapomniał o tle, pochłonięty już tylko przez wojnę.

Gąsiorowski zniża żołnierza i bitwę. Unosi go zapał, bez którego zwycięstwo jest niemożliwe. Rozumie on, że nie żołnierz siedzący na koniu, wygrywa, lecz idea wodza. Ta idea wodza, jego zapał, jego rozum, jego natchnienie rycerskie, musi się udzielić w pewnej mierze każdemu szeregowcowi, jeżeli krew nie ma się lać podaremnie.

Wojsko, stojące w ogniu, jest wielką maszyną, której każda, najdrobniejsza sprężynka powinna współdziałać karnie, podług nakreślonego przez wodza planu. Biada wojsku, któreby zaczęło filozofować, zastanawiać się nad okrucieństwem wojny, lub nad brutalnością karności. Na taką zabawę można sobie tylko pozwolić, gdy się siedzi z piórem w ręku przy bezpiecznym biurku lub leży pod bezpieczniejszą pierzyną.

Gąsiorowski nie filozofuje, nie pesymizuje. Jego żołnierz jest żołnierzem... znosi spokojnie wszystkie trudy obozowe, idzie w ogień, jak w taniec, bije się, jak podrażniony dzik. Postać to jednolita.

Ale tych rzeczywistych żołnierzy stworzył Gąsiorowski już tyle i tak dobrze, z takim odczuciem, iż nowi robią wrażenie znanych kopii. I nie może być inaczej. Żołnierze z „Roku 1809-ym“ są rodzonymi braćmi żołnierzy z „Huraganu“—ta sama epoka, ta sama krew, ci sami ludzie. Tożsamość tła pociąga za sobą powtarzanie się typów, charakterów. Nie chcąc kopiować samego siebie, trzeba zmieniać tematy, chwilę dziejową, tło. Tak samo szarżuje kawaleria w r. 1809-ym, jak w r. 1805-ym, 1806-ym, 1807-ym, tak samo idzie piechota do ataku, strzela artyleria. Zbyt krótka przestrzeń czasu dzieli „Rok 1809-ty“ od „Huraganu“, by autor mógł stworzyć nowe sytuacje.

W „Roku 1809-ym“ powtórzyły się wszystkie zalety utalentowanego autora „Huraganu“: doskonały rysunek żołnierza, temperament wojskowy, plastyczny rysunek bitwy i jednolitość kompozycji.

Teodor Jeske-Choiński.



SEGANTINI.



„Ten człowiek ma talent.“ — „Tamten nie.“ — „Ten umie odczuwać piękno.“ — „Ten umie odtwarzać piękno.“ — „Tamten nie.“ I czemuż to? wszak wszyscy z jednej gliny ulepieni, wszyscy jeden i ten sam świat widzą i wszyscy przestają żyć, gdy ich serca bić przestają. Nieodgadnione misteryum natury, nieodgadnione jeszcze, może nigdy.

Dlaczego w Segantini, tym dziś wielkim, przez cały świat podziwianym mistrzu, urosł talent, dlaczego?... Przecie paryasem moralnym i materyalnym był, gdy malcem za chlebem w swe włoskie góry poszedł i gdy wśród pasterzy kóz litościwy chleb znalazł. Przecie tam wśród wysokich, nagich gór, wśród pasterzy i ich drobnych spraw kultury niema, a wszak mówią: „Dla talentu potrzeba kultury.“

A przecie ten mały Segantini na jednego z największych w świecie sztuki wyrósł, którego dzieła będą zawsze dokumentami doskonałości ludzkiej. Całe niemal życie przepędził w górach, na krótko tylko zajrzał do medyolańskiej szkoły malarskiej—czyż więc odczucia kultury potrzeba, aby talent się rozwijał, czy też przeciwnie: tam jest kultura, gdzie talent. Talent objawia się tem, co nazywają kulturą. Może więc talent kulturę z sobą przynosi? Może sam fakt, że ktoś ma talent, pociąga za sobą drugi fakt, że ten ktoś jest kulturalnym. Gdyby zaś tak było, a tak może być, nieprawdziwem byłoby powiedzenie: „Kultury trzeba dla talentu.“

Zkąd więc rodem wielki pan, któremu na imię: talent? Samorodna z nędzy poczęta indywidualność artystyczna Segantiniego zachęca więcej, niż każda inna, do szukania odpowiedzi na to zapytanie.

Ale jak zgłębić tajemnicę powstawania talentu, jakim sposobem wynaleźć przyczynę, że „ten ma talent, a tamten nie.“

Komórkę rośliny, czy jaskiniowca wybada dokładnie uzbrojone w mikroskopy oko uczonego. Jak badać mózg, jak badać serce?—po śmierci najdokładniejsze instrumenty nie wysłedzą dlaczego badany przez nich trup miał talent, gdy nie był trupem.

...Mały Segantini kózki zapędza. Słońce na dobranoc całuje tak rozkosznie białe góry, że aż się rumienia. W tych wieczornych rumieńcach świata jest piękno najczystsze, niefałszowane. Segantini to widzi.

Kózki z szalasów trzeba wypędzić, bo ranek wstaje. Taki świeży, różowy ranek, wykapany w morskiej pianie—tam, hen, w dolinach lekkie mgły, jak pióra strusie. Segantini to widzi.

I tak dzień w dzień, jak rok długi, aż nagle po wschodzie słońca zaczyna tęsknić za zachodem, a po zachodzie za wschodem. Młody pasterz zakochał się w słońcu wschodzie i zachodzie.

Piękno jest kulturalnem bezsprzecznie, a skoro wschód słońca i zachód jest pięknem, więc również musi mieć w sobie kulturalną siłę wschód i zachód, więc nieprawdziwem powiedzenie, jakoby kultura mieszkala tylko w wyrafinowanych środowiskach życia duchowego.

Młody Segantini zakochał się w przemia-

nach słońca, w naturze najczystszej, niezmaczonej dymami fabrycznych kominów i stał się prawdziwie silnym artystą. Może więc miłość: uzdolnienie do ukochania natury jest talentem? Może... Ale znów brak odpowiedzi na zapytanie: zkąd rodem to uzdolnienie ukochania?

Nieodgadnionem misteryum natury i niezbadanem jeszcze źródło talentu.

I przypomina się bajka o dobrych duchach, składających dzieciom w kołysce swoje dary: rozum, dobroć, piękno, artyzm. Obdarowanie talentem tej lub owej jednostki,—tokaprys—czyż? — czy natury?

Dziwne losy wielkiego mistrza włoskiego zasugerowały zapytanie: zkąd talent rodem.

...Wystawa u Krywulta, to jakby historia rozwoju malarskiego artyzmu Segantini.

Pierwszy okres, to obrazy martwej natury, malowane jeszcze pod wpływem szkoły medyolańskiej dla chleba—sprzedawał je massami, po kilka lirów sztuka.

Drugi okres, w którym już zapał w swój ideał sztuki, szedł własną, swoją, samodzielną drogą: „St-Maurice“, „pięć pasterzy“, „Krówka na pastwisku.“

I wreszcie trzeci okres: ideał dośnięty—doskonałość artystyczna: „Strzyżenie owiec“, „Kara na złe matki“, „Rozkosznice“ i „Miłość matki.“

Mistrz włoski umarł, niestety, wcześniej—miał lat 41 zaledwie—śmierć przyszła do szalasu u stóp Apenin, gdzie przybył wśród zimy, uczyć się piękna od zaśnieżonych szczytów.

Segantini jest jednym z „nieśmiertelnych mistrzów.“ Nazwisko jego przez wieki stać będzie obok nazwisk takich, jak Michał Anioł, Tycjan, Andrea del Sarto.

A gwiazdą jest i zawsze będzie on na czarodziejskim firmamencie sztuki, bo w obrazach jego prócz przedziwnej, zupełnie samodzielnej, samorodnej techniki, jest poezyja szczerą, i prawda, i barw rozkosznych tyle, że słońcu zazdrość, a duszy ludzkiej raj.

Gilbert.



Hotel Lambert.



Jakkolwiek mylną była pogłoska, jakoby ks. Witold Czartoryski postanowił sprzedać słynny Hotel Lambert w Paryżu, przy tej sposobności zwróciły się na niego oczy miejscowych Towarzystw naukowych i miłośników sztuki i starych zabytków. Dyrektorowie muzeów, historycy, malarze zwiedzają tłumnie ten śliczny pałac, wznoszący się na wyspie św. Ludwika pod nr. 2 przy ul. Saint Louis en l'Île.

Nie od rzeczy przypomnieć jego dzieje.

Został zbudowany w r. 1640 dla prezydenta Mikołaja Lambert (stąd nazwa „Hotel Lambert“) przez słynnego podówczas architekta Le Vau. Ściany i plafony ozdobili artyści takiej miary, jak Le Sueur i Le Brun; „Apoteoza Herkulesa“ pędzla tego ostatniego, przedstawiona na plafonie głównej galeryi, jest prawdziwem arcydziełem. Van Ostade odtworzył dwanaście bohaterskich czynów Herkulesa. Le Sueur malował sufit i ściany „Gabinetu miłości“, oraz plafon pokoju zwanego Wolterowskim, gdyż tutaj filozof napisał swoją „Henryadę.“ Liczne malowidła przeszły z Hotelu Lambert do Louvru, lecz

w pałacu pozostają jeszcze stiuki, freski i t. p.

Jak wiadomo, w Hotelu Lambert mieścił się Instytut dla Polek, założony w r. 1846-m przez księżną Annę Czartoryską, a zamknięty w r. 1899-ym przez jej córkę, hrabinę Działyńską. Przez pół wieku z górą kilka pokoleń młodych dziewcząt przeszło pod sklepieniami starego pałacu na wyspie św. Ludwika. Całe skrzydło było oddane na ich użytki, mieszcząc stale około dwudziestu panien ubogich, kształconych na nauczycielki. Wynosiły one z tego zakładu wiedzę.

Wiele z nich roznieciło własne ogniska, inne powróciły do kraju. Księżna Anna wraz ze swą córką zajmowała się gorliwie uczennicami swego zakładu, wdrażała je w obowiązki domowe i światowe.

Panny bywały zapraszane kolejno na przyjęcia, urządzone przez ich dostojną opiekunkę. Jedna z nich, dziś już czcigodna babka, opisała pierwsze lata egzystencji zakładu i skreśliła sylwetkę jego założycielki, głównymi rysami tej postaci była, szlachetność, staranność, wytrwałość w działaniach.

Apartamenty księżnej łączyły się z zakładem, spędzała w nim połowę pracowitych dni swego żywota. Jej córka, późniejsza hr. Działyńska, już za młodu, wśród światowych tryumfów znajdowała czas dla wychowanek, udzielając im systematycznie lekcji angielskiego języka, a później, z każdym rokiem bardziej poświęcała się dziełu swej matki.

Byłe wychowanki zachowały ją we wdzięcznej pamięci, również jak księżną Marcelinę, z domu Radziwiłłównę, ulubioną uczennicę Chopin'a, która kierowała studiami muzycznymi, udzielając lekcji zdolniejszym pannom. Mała sala widowisk, była jakoby świątynią na cześć Mistrza. Z pod artystycznych palców księżnej Marceliny unosiły się dźwięki polonezów, mazurków i preludjów.

Dziś już te tony przebrzmiały, pałac sta się, jakby mauzoleum.



Kronika działalności kobiecej.



— **Austro-Węgry.** Na przedstawienie dyrektora szpitali peszteńskich, profesora, doktora Kallmana Müllera, doktor panna Ida Szendeff, została pierwszą asystentką lekarską w szpitalu w Peszcie.

— **Peszteński związek wychowawczy** postanowił w lecie roku bieżącego urządzić wystawę dziecięcej sztuki. Wystawa ma na celu wykazanie, o ile sztuka wpływa dodatnio na wychowanie dziecka i o ile ogół dzieci podatny jest do kształcenia w sztuce. Wystawa, która będzie międzynarodową, trwać będzie kilka miesięcy.

— **Francya.** Przed ośmiu miesiącami zorganizowane zostało w Paryżu stowarzyszenie kobiet pracujących, „L'action sociale des femmes rationalistes”, które na zasadzie samopomocy doszło już do tak znacznych rezultatów swojej działalności, że własnym kosztem wystawiło dom dla sierot po biednych robotnicach i jest w zamiarze budowania na rok przyszły przytulku dla biednych pracowników, chorych, albo szukających zajęcia. — Stowarzyszenie ma nader szeroki zakres działania i zajmuje się nie tylko wyłącznie owymi

uczestniczkami, lecz w ogóle poprawą bytu pracujących kobiet.

— **Anglia.** Stowarzyszenie kobiet chrześcijańskich w Anglii, „Free Church Council” w Leeds, zajęło się żywo poprawieniem losu kelnerek, których w Anglii rachują do 130 tysięcy. Zajęcie to dla młodych dziewcząt, mających niżej lat 14-tu, okazuje się bardzo niewłaściwe, często do przedwczesnego prowadzi zepsucia, a przez brak regularnego, zdrowotnego snu, niszczy rozwijający się organizm.

— **Włochy.** W Medyolanie, w schronieniu dla sierot otworzono kurs gospodarstwa domowego i wiejskiego, a to dzięki stowarzyszeniu, noszącemu miano „Unione Femminile.” Stowarzyszenie to zorganizowało przed rokiem związek szwaczek „La Fraterna,” obecnie zaś, dla lepszego fachowego wykształcenia kobiet szyjących, założyło przy związku szkołę rysunkową. Toż samo stowarzyszenie otworzyło też dla kobiet kursa higieny popularnej, pozostające pod kierunkiem jednego z profesorów Uniwersytetu.

— **Lipsk.** Nakładem pisma „Frauenrundschau” wyszła tutaj książka p. Wilhelminy Wiechowskiej, obejmująca bardzo wyczerpujące szczegóły z życia kobiet czeskich i dokładny obraz umysłowego ich rozwoju. Kobiety czeskie długo walczyć musiały z utartymi narodowymi przesadami, zanim doszły do tego, co dziś posiadają — a posiadają istotnie wiele. Kluby, wybornie zorganizowane stowarzyszenia, czytelnie, biblioteki, szkoły rękodzielnicze, przytulki, rozmaite cele mające na względzie, związki robotnicze, gimnazja i wyborne szkoły przygotowujące podstawowo do studyów uniwersyteckich.

— **Austria.** W ostatnich ubiegłych czterech kwartałach Uniwersytetu w Austrii liczyły słuchaczek 2,517. W liczbie tej znaczna większość, bo 2,107 przypadała na wydział filozoficzny.

— **Ameryka.** Panna Rosa Bourassa, pochodzeniem indyanka, z plemienia Chipewayów została członkiem Towarzystwa antropologicznego i stenografką przy temże Towarzystwie na wystawie w St. Louis. Panna Bourassa pracuje także na polu dziennikarskim.

— **Szwecya.** Jako dowód uznania za powieść p. t. „Jerozolima,” autorka, Selma Lagerlöf, otrzymała w darze od kobiet szwedzkich wspaniałe dekoracje ścienne, gobeliny, utkane przez doskonale wykształcone specjalistki, uczestniczki stowarzyszenia „Szwedzkie rękodzieła.” Wzory do owych gobelinów ułożone i skomponowane zostały przez artystkę-malarkę, pannę Wittegreen i stanowią ilustrację do wyżej wspomnianej powieści.

— **Stany Zjednoczone.** Doktor Ellen Lowell została powołana, jako pierwszy bakteriolog przy laboratorium patologicznym w szpitalu Orange (w Nowym-Jorku), zaś doktor Ruth Lathrop otrzymała katedrę fizjologii i higieny przy szkole medycznej w Pensylwanii.

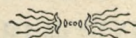
— Podobnie, jak niegdyś para małżeńska Sidney-Webb w Anglii, dwie Amerykanki, pani i panna Borst, chcąc gruntownie poznać życie kobiet pracujących w fabrykach amerykańskich, same przez lat kilka pracowały w rozmaitych zakładach fabrycznych i warsztatach. Wszystkie swoje doświadczenia i uwagi spisały w dziele pod tytułem: „The woman who trils” („Kobieta, która pracuje”), do którego prezydent Roosevelt napisał przedmowę. Książka ta wywołuje w Ameryce, Anglii i Francji wielką sensację, głównie przez to, że w znacznej mierze osłabiła wysokie mniemanie, jakie miano o położeniu i bycie amerykańskich pracownic. Nie jest ono ogólnie złem, lecz dalekie od tego, za jakie je uważano, zwłaszcza w starym świecie. Według pań Borst, amerykańskie pracownice fabryczne dzielą się na dwie grupy, zu-

pełnie różne między sobą. Jedna składa się przeważnie z pracownic, przywożonych z południowej Karoliny i dostarczanych do fabryk tkackich. Pracownice te są poprostu białymi niewolnicami, które zastąpiły niewolników czarnych. Życie ich, pozbawione wszelkich wygod, równa się niekiedy prawdziwemu piekłu na ziemi. Sześciolatnie dzieci bywają zmuszane do pracy, choroby rozwijają się straszne i śmierć dziesiątkuje pracownice i przedwześnie pracujące małenstwa. Małżeństwo, ognisko rodzinne wśród kobiet tych, obcych na gruncie, na którym pracują, są to marzenia prawie zgoła nieznane.

Drugą kategorię pracownic, zupełnie odmiennej natury, stanowią „prawdziwe Amerykanki.” Wśród tych, wiele pracuje nawet nie z koniecznej potrzeby, a jedynie dla oryginalności, albo dla stworzenia sobie funduszu, który mogłyby swobodnie wyrzucać na fatalaszki i stroje. Przychodzą do fabryk dostatnio odziane, przynoszą z sobą łakocie, rozmawiają o teatrze, towarzystwach, strojach i wnoszą z sobą pierwiastek nie tylko wesóły, ale niekiedy i szkodliwy.

Zdaje się, że panie Borst trochę za czarno zapatrują się na robotnice amerykańskie i typy wyjątkowe uważają za ogólne. Dowodzeniom ich przeczą bardzo energicznie liczne w Ameryce związki kobiece i stowarzyszenia, od dawnego już lat szeregu pracujące nad poprawieniem losu i umoralnieniem pracowni w fabrykach. Niemniej książka „The woman who trils” ma tę niezaprzeczoną zasługę, iż na wiele szczegółów, nieznanych gruntośnie, zwróciła uwagę i dodała nowego bodźca filantropijno-społecznej działalności kobiet amerykańskich.

Z. S.



Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorów o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysełać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu” (Nowy-Świat, 41).

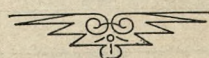
Powołując się na odezwe Redakcyi, umieszczoną na czelu zeszłego numeru, uprzejmie prosimy Szanowne Prenumeratorki „Bluszcza” z prowinji, które nadesłały przedpłatę w ilości rub. 1 na dzieło p. t. „Kobieta współczesna,” o nadesłanie tylko kop. 40 na opakowanie i kosztą przesyłki.

Treść numeru:

Głos kobiet w kwestyi kobiecej, przez g. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza. — Nieszczęście (wiersz), przez Stefana Machalewskiego. — Prawo do brzydoty, przez E. Żm. — W sprawie kobiecej, przez ks. A. Brykczyńskiego. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Nasz Kwestyonaryusz macierzyński (ciąg dalszy). — Dzieci, a piosenki, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Kwiaty i chwasty, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Segantini, przez Gilberta. — Hotel Lambert. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 11-ty powieści „Miłość moim grzechem,” w przekładzie z francuskiego M. Łaganowskiej, oraz Referat o Ochroniarkach.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 29). — Przepisy kuchenne.



Amazonki

Jan Zborowski

Kostiumy

KRAWIEC MĘZKI

WARSZAWA, ul. Nowy-Świat № 30

1-sze piętro od frontu (naprzeciw Chmielnej)

Ma zaszczyt zawiadomić J. W. i W. Panie iż otworzył

ODDZIAŁ OKRYĆ DAMSKICH

Płaszcz

pod osobistym kierunkiem

Żakiety

„Kuryer Codzienny”

Pismo Społeczno-Literacko-Polityczne

pod redakcją STANISŁAWA LIBICKIEGO.

W roku bieżącym drukować będzie słynne

KRONIKI TYGODNIOWE
BOLESŁAWA PRUSA

tegoż autora:

KARTKI Z PODRÓŻY.

Od Nowego Roku „KURYER CODZIENNY” drukuje nadzwyczaj interesującą powieść społeczno obyczajową na tle stosunków żydowskich p. t:

ŻYDZI

napisaną przez Michała Muttermilcha znanego estetyka i nowelistę zamieszkałego w Paryżu.

Jako

PREMIUM BEZPŁATNE

„KURYER CODZIENNY” da 12 TOMÓW (120 arkuszy) najcenniejszych utworów literatury swojskiej i zagranicznej, między innymi znakomitą powieść T. T. JEŻA

MAURycego MOCHNACKIEGO

O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU.

Wybór pism LUDWIKA SZTYRMERA p. t:

„Powieść nieboszczyka pantofla”,

PAWŁA BOURGETA p. t:

CICHA WODA i inne.

Cena prenumeraty: W WARSZAWIE: Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. NA PROWINCYI z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25. — Za odnośnienie do domu kop. 10 mies.

ADRES: Krakowskie Przedmieście Nr. 17.

Kwiaty do kapeluszy

podług modeli Paryskich; garnitury ślubne, ubieranie żardinier koszón i wazonów.

KIEŁKIEWICZ

Niecała №. 10.

Ceny niskie.

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

Sanatogen

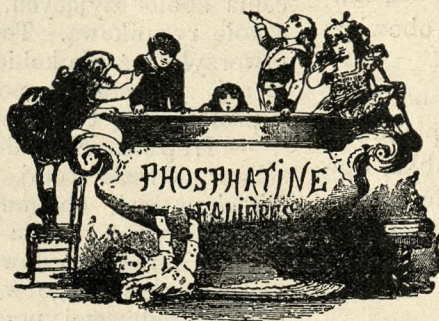
Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm
u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko Bauera i Ski w opakowaniu rosyjskiem.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.



Fosfatyna Faliera,

przyjemny pokarm najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. Ułatwia żółtkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości.

Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

„HELENY”

Wielka 40 m. 20.

Fasony podług modeli paryskich wykonywa po cenach przystępnych.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

JAHŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Krak.-Przed. 38.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

PAULINY BURCHARDT

Warszawa, Marszałkowska 125.

Poleca Nauczycielki, Bony.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Z A Ł E S K I

Berga Nr. 8.

Rekomenduje nauczycielki, nauczycieli, bony polki i niemki. Sprowadza francuzki z własnego biura w Paryżu.

Dr. H. ZAMENHOF

specjalnie choroby skóry i włosów.

Orla 12 do 10 r. i od 4-6 p. p.

III-ci rok wydawnictwa

Wychodzi dwa razy na miesiąc, objętości 96 — 112 str. wiel. form.

Biblijoteka Samokształcenia

Zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin nauki; w dziale książkowym: dzieła i studia obszerniejsze.

Wyszedł № 1. Zawiera: Od redakcji — St. Kucharskiego; Nauka a natchnienie — D-ra Piotra Chmielowskiego; Pierwsza kartka historii religii — Ign. Radlińskiego; Eug. Dühring — D-ra H. Höffdinga.

W dziale książkowym: Wyższe wykształcenie kobiet, a współczesna nauka uniwersytecka z dodaniem uwag O zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego — D-ra Eug. Dühringa.

Biblijoteka ogłosiła konkurs 500 rublowy dla prenumeratorów na wybranie „złoty myśli” zawartych w dziełach wyszłych w Biblijotece. Termin 14-go Września. Komplet Bibl. Sam. z 1903 roku do nabycia jeszcze po cenie redakcyjnej.

Z roku 1902 komplety są już wyczerpane.

Pojedyncze książki do nabycia w księgarniach.

Prenumerata: rocznie 6 rb., półrocz. 3 rb., kwart. 1.50 rb.; z przesyłką: 8 rb., 4 rb., 2 rb.

Dla kształcącej się młodzieży 50 kop. miesięcz. w miejscu.

Redakcja: NOWY-ŚWIAT 37.

Wydawca: Piotr Laskauer. — Redaktor: Marian Gawalewicz.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Февраля 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41